

Oplata pocztowa uiszczona gotówką

WIADOMOŚCI WĘDKARSKIE

miesięcznik



ORGAN
ZWIĄZKU SPORTOWYCH
TOWARZYSTW WĘDKARSKICH

1939

N^o 8

Wiadomości Wędkarskie

ROK IV

15 SIERPNI 1939 ROK

NR. 8 (38)

M I E S I Ę C Z N I K

ORGAN ZWIĄZKU SPORTOWYCH TOWARZYSTW WĘDKARSKICH R. P.

OŻEONKA ZWIĄZKU ORGANIZACJI RYBACKICH R. P.

SPIS RZECZY: W. C. — Uwagi ze Zjazdu Inspektorów Rybackich. St. Kukowski — Mój spławik uniwersalny. W odcinku: Mieczysław Gacki — Pechowa wyprawa. T. Czechowicz — W sprawie artykułu „Rzeki naszych gór jako obiekty gospodarcze”. B. Kwiatkowska — Kobieta w sporcie wędkarskim. H. Brzeski — Cherchez la femme. W. R. — Jak sporządzić samemu sztuczną muszkę. A. Seeman — W obronie wędkarstwa. M. Bakota — Dzień nad rzeką przyszłości. E. Wierchoń — Z wędkami nad Pilicą. W sprawie podręcznika. To i owo.

Uwagi ze Zjazdu Inspektorów Rybackich

Obecność przedstawicieli wędkarstwa na ostatnim zjeździe inspektorów rybactwa była, zdaniem naszym, z korzyścią dla obu stron. Kontakt taki miał miejsce w pierwszych latach istnienia Związku, sprowadzał się on jednak do obecności na posiedzeniach zarządu tych panów inspektorów, na terenie działalności których się one odbywały. Niestety, w następnych latach posiedzenia takie zwoływane były tylko do Warszawy, skutkiem czego urwały się te pożyteczne spotkania.

Dyskusja przeprowadzona na ostatnim zjeździe, z konieczności ograniczona co do czasu, wykazała bogactwo tematów, interesujących obie strony. Nie będziemy ich wymieniali. Poruszymy tu tylko niektóre.

Musimy przede wszystkim stwierdzić istnienie poważnych rozbieżności w poglądach obu stron na niektóre sprawy pierwszorzędne dla nas znaczenia. Nie tracimy jednak wiary w to, że znaczna ich część może być usunięta na skutek częstszego kontaktu zainteresowanych stron, wzajemnego przekonywania się, urabiania w sobie wspólnych poglądów i wytycznych, wreszcie stworzenia podstaw dla wzajemnego rozumienia się.

Pierwszą i najistotniejszą sprawą dla nas jest sprawa uprawnień wędkarstwa. Niejednokrotnie staraliśmy się na tym miejscu przekonać kogo należy, nie wyłączając i siebie samych, że znaczenie wędkarstwa daleko wykracza poza ramy samego sportu. Nie będziemy teraz wracać do tego tematu — jako dowód słuszności naszego stanowiska niech służy ten fakt, że we wszystkich prawie krajach o wyższej kulturze wędkarstwo zyskało sobie prawo obywatelstwa i korzysta z licznych uprawnień. Stanowisko nasze sprowadza się do tego, że wędkarstwo ma równe prawa w ubieganiu się o tereny z rybactwem zawodowym. Gdyby chodziło o ustalenie, kto z tych dwóch kandydatów i do jakich wód ma pierwszeństwo, to, zdaniem naszym, należałoby przyjąć następującą zasadę. Jeziora i wielkie rzeki stanowią domenę rybactwa, zaś średnie i małe — wędkarstwa. W tym wypadku jednak, gdy w pobliżu większych osiedli płyną tylko rzeki wielkie, wędkarze mają prawo do ubiegania się i otrzymania nawet na nich obwodów. Przyjęcie takiej zasady jest o tyle łatwe, że w rzadkich tylko wypadkach obwody na rzekach mniejszych i średnich mogą stanowić warsztaty pracy, wystarczające dla utrzymania rybaka. Zresztą stanowisko nasze nie wywołało zasadniczych sprzeciwów, jakkolwiek zarówno w dyskusji, jak i przy innych nadarzających się sposobnościach było podkreślane, że przede wszystkim należy myśleć i dbać o rybaka.

Wychodząc z tego właśnie założenia i pragnąc przekonać o jego słuszności, stosuje się wobec wędkarstwa

daleko ostrzejszą ocenę, niż wobec rybactwa. Z tego też powodu były wysuwane przeciw wędkarstwu różne zarzuty. Nie przeczymy, że pewna ich część jest słuszna, że powinniśmy przyłożyć starań w celu ich usunięcia, jednak nie są one na ogół dowodem złej woli, raczej często braku dostatecznej znajomości przepisów. Istnieją poważne antagonizmy między rybactwem i wędkarstwem i każda ze stron stara się podkreślić i wykorzystać zauważone u drugiej niedociągnięcia. Jesteśmy jednak przekonani, że i tu, gdy chodzi o zorganizowanych rybaków zawodowych, porozumienie nie jest trudne, byle tylko zechcieli do tego przyczynić się panowie inspektorzy rybacy. Dążeniem Związku jest podnoszenie wartości ideowych wędkarstwa. Pomocnym tu bardzo byłby ścisły kontakt Związku z będącymi w stałym kontakcie z terenem panami inspektorami. Wymiana spostrzeżeń i wyjaśnień pomogłaby sprawie.

Nie wątpimy, że następne dyskusje doprowadzą do wzajemnego zrozumienia się i uzgodnienia, jak również do usunięcia wielu bolączek. Czy jednak na te dyskusje pozwoli czas, tak absorbowany przez pracę, rosnącą w miarę postępu realizacji programu?

Odmienne warunki, istniejące w poszczególnych dzielnicach Polski, utrudniają przyjęcie dla całego kraju jednakowych zasad i jednakowych podstaw postępowania. Inne są bowiem antagonizmy między rybakami i wędkarzami na terenie wysokiej organizacji rybactwa, więc na Pomorzu i w Poznańskim, inne na kresach, gdzie zaczynają tworzyć się organizacje rybackie, jak na Wileńszczyźnie, inne wreszcie w województwach centralnych i częściowo na kresach, gdzie rybactwo nie stoi na wysokości zadania. Wreszcie odmienne warunki spowodowały najlepszy stan w Małopolsce. Dominującą ilość wód o charakterze wyłącznie sportowym i istnienie Związków Ochronnych, ułatwiających bezpośredni kontakt jednych i drugich, wpłynęły dodatnio na ułożenie się wzajemnych stosunków.

W dyskusji dowiedzieliśmy się, że na terenie Wileńszczyzny istnieje Towarzystwo wędkarskie, posiadające we wspólnym użytkowaniu z rybakami kilka obwodów rzeki Wilii. W tym wypadku wędkarze występują wspólnie z rybakami jako gospodarze obwodów. Tej formie współpracy należy poświęcić nieco uwagi. Wydaje się nam, że na tej drodze możnaby uniknąć niejednej trudności, powodowanej koniecznością konkurowania o obwody. O ile wydawanie pozwoleń wędkarzom przez rybaków na ich obwodach nie daje dobrych wyników, gdyż nie są w tym wypadku jednakowo traktowane interesy obu stron, a dzierżawca obwodu stara się w najbardziej

ostry sposób ograniczać prawa drugiej strony, — o tyle współpraca, oparta na równych uprawnieniach, oczywiście przy pewnym poziomie i dostatecznym przygotowaniu ideowo-fachowym obu stron, może dać bardzo dobre wyniki i wyrównać wiele wzajemnych uprzedzeń. Ta sprawa może mieć poważne znaczenie dla niektórych dzielnic i dlatego radzi byłibyśmy usłyszeć opinię tych kolegów wędkarzy, którzy mają bliższy kontakt z terenem.

W ten sposób wykorzystanie terenu mogłoby być podniesione do maksimum, przez jednoczesne i planowe działanie sieci i wędki. Mówimy tu jednak o wykorzystaniu jakościowym, a nie ilościowym. Chcielibyśmy bowiem, aby u nas, podobnie jak to miało miejsce w Japonii, a o czym przed paru laty słyszeliśmy z ust jednego z naszych najpoważniejszych ichtiologów, kłusownictwo zostało zwalczone, po bezskutecznym użyciu różnych środków, przez bardzo intensywne zarybienie wód. Dlatego wydawałoby się nam, że polityka eksploatacyjna naszych rzek nie powinna stawiać na pierwszym miejscu stworzenia odpowiedniej ilości warsztatów pracy,

przynoszących możliwie duże dochody przez dokonywanie odłowów, a kierować swe wysiłki przede wszystkim na możliwie bogate obsadzenie tych wód rybami.

Zatrzymujemy się tylko na tych sprawach, jako najistotniejszych. Władzom za umożliwienie nam bezpośredniego kontaktu z czynnikami, wprowadzającymi w życie ustawę o rybołówstwie, za możliwość wzajemnej wymiany poglądów i dążeń, należy się z naszej strony podziękowanie. Mamy nadzieję, że jest to pierwsza, lecz nie ostatnia próba. Ze swej strony ponawiamy wyrażone na zjeździe nasze pragnienie, by zapoczątkowany kontakt panów inspektorów z naszym Związkiem rozwijał się nie tylko z okazji zjazdów, lecz i w życiu codziennym. Zależałoby nam na tym, by zauważone uchybienia ze strony Towarzystw były nam komunikowane, celem ich usunięcia lub wyjaśnienia. Wreszcie pragnęlibyśmy, by zechcieli panowie inspektorzy otaczać swą opieką Towarzystwa, należące do Związku, by w ten sposób pomagać wędkarstwu w ideowo-sportowym doskonaleniu się.

W. C.

Zarząd Związku pozwala sobie zawiadomić Szanownych Czytelników „Wiadomości Wędkarskich”, że w dniu 16 lipca r. b. p. **Mecenas Józef Wyganowski** zrezygnował z pełnienia funkcji Redaktora naszego pisma.

Komunikując o tym, Zarząd Związku wyraża żal i składa p. **Mecenasowi J. Wyganowskiemu** serdeczne podziękowanie za bezinteresowną i owocną przeszło dwuletnią pracę dla rozwoju „Wiadomości Wędkarskich”.

Pechowa wyprawa

(Dokończenie)

Ale oto i Korczyn. Mała miejscina z dużym odsetkiem żydów.

Obżarek zmęczony i zły, bo, jak zwykle, głodny. Nic się nie odzywa. Naraz staje przed jakimś domkiem, obciera pot z twarzy i, wskazując ręką na jakiś szyld, błogo się uśmiecha.

— Takim głodny — mówi do kolegów. — Szukasz szczęścia, wstap na chwilę!

Wstąpili. Zjedli po „gospodarskiej” porcji kielbasy przypiekanej z kapustą. Doskonała. Herbata była mniej smaczna — pachniała ziółkami, ale pili, bo lepszej nie było.

W rynku prędko znaleźli „szyld z największym butem w Korczynie” i gdy podeszli do okna, przy którym pracował mistrz z pomocnikami, ten, zobaczywszy ich, rzucił z radości butem na kopycie o ziemię i wybiegł na spotkanie wędkarzy.

— Kończyć robotę! Sprzątać warsztat! — zadyrygował.

Znużonych wędkarzy zaprosił tymczasem do ogródka, gdzie posadziwszy na ławce pod jabłonią, wypytywał o wyniki połowu.

Za chwilę zjawiła się pani majstrowa, zapytując uprzejmie, co życzą sobie na kolację — herbatę czy zalewajkę.

Wybrano zalewajkę.

Postawiono stół pod jabłonią i wędkarze w towarzystwie tylko Mistrza uraczyli się doskonałą „zalewajką” ze słoniną, liściem bobkowym i cebulą.

Podczas kolacji rozmowa naturalnie toczyła się tylko o rybach i jutrzejszej wyprawie nad Wisłę.

Po ożywionej wymianie zdań uproszono Mistrza o objęcie kierownictwa wyprawą.

— Dziękuję ewentualnie za zaufanie — zaczął Mistrz — ale ja już obmyśliłem, że panowie będą spać ewentualnie w stodole mojego gospodarza; robaki już są, a obgotowane kartofle będą ewentualnie niedługo, zaś ryby złowione przez panów schowa się

do piwnicy, a po łód posłałem już ewentualnie do piwiarni mojego chłopaka.

Wzruszeni uczynnością i gościnnością Mistrza, nasi wędkarze powędrowali do stodoły.

Zasnęli momentalnie, ale na krótko, bo jeszcze ciemno było, gdy Mistrz obudził ich.

Szybko minęli ciche ulice miasteczka i zagłębili się w gąszczu wiklin nadwiślańskich — siedliska tysięcy słowików.

A śpiew słowicy coraz potężniał, aż zagłuszył świergot innego ptactwa.

Wisła. Lekka mgła unosi się nad wodą. Cicho i spokojnie na jej powierzchni.

Nim przygotowali wędki, już na powierzchni Wisły rozpoczęły swe harce drapieżne bolenie, a za nimi zjawiły się krzykliwe rybitwy i zaczęły swe łowy.

Wędkarze zastawili wędki „na grunt”.

Na dżdżownicę brały przeważnie okonie, jasne, jakby wypłowie, a Mistrz na kartofla złowił sporego karpia.

Na wędki z żywcami — nic.

Już dobrze świtało, gdy naraz linewka wędki z żywcem Obżarka gwałtownie zaczęła się rozwijać z kołowrotka.

Obżarek zamarł w bezruchu i czeka. Gdy linewka wysnuła się cała i wyprężyła, podciął. Jest, bo zahaczona ryba zmieniła kierunek i zdąża ku wyrwie.

Obżarek skręca linewkę i trzyma ją wyprężoną. Stań. Chce wyciągać, nie może, coś trzyma mocno, ale nie szarpie i nie ucieka.

— To węgorz — szepcze Mistrz. — Trzymać mocno, nie puszczając, nie szarpać, a po trochu przyciągać do siebie. Mocny w pysku i w ognie, ale ból go ewentualnie przemoże.

— Kto kogo — myśli Obżarek — i wolno i po trochu skręca, pomimo oporu, linewkę. Węgorz trzyma się na dnie i ustępuje bardzo powoli, a jednak zbliża się ku brzegowi.

Naraz korbka kołowrotka wyskakuje z ręki Obżarkowi, linewka skręca w bok w szalonym tempie, coś szarpie tak, że silny Obżarek pochyla się, wędzisko pęka w połowie, woda kottuje się

Mój spławik uniwersalny

(Dokończenie)

Po przygotowaniu wyżej wymienionego materiału przystępujemy do wykonania poszczególnych części spławika.

Przelotne pierścienie. Bierzemy mosiężny drucik i zwijamy go w kształcie sprężyny (mającej od 2 do 3 zwojów — zob. rys. 2, lit. „a”), co skuteczniejszy, tuż przy pierwszym zwoju drucik zginamy pod kątem prostym i odcinamy go poniżej w odległości 1 cm względnie 1½ cm, licząc od tego pierwszego zwoju.

Niezależnie od powyższego pierścienia, podobnym sposobem skręcamy drugie sprężynowe kółeczko, które różnić się będzie jedynie zakończeniem (zob. rys. 2, lit. „b” i porównaj zakończenie „cde” z zakończeniem „fz”).

Przelotne kółeczko, oznaczone na rys. 2 literą „a”, przytwierdzamy do końca (cieńszego) igły jeżozwierza (względnie piórka), natomiast kółeczko „b” do korkowego nośnika (miejsce umocowania tego kółeczka zob. na rys. 1, lit. „p”).

Jeżeli ograniczymy ilość piór (względnie igieł jeżozwierza) do 1 sztuki, wówczas szykujemy jeden tylko pierścień przelotny „A” i tyle pierścieni „b”, ile dopasowaliśmy do niego korkowych nośników. I tak, dla 3 piórek z 6-ma nośnikami należy przygotować 3 kółeczka „a” i 6 kółeczek „b”; dla dwóch — 2 kółeczka „a” i 6 kółeczek „b” itp.

Aby umocować kółeczka „a” do piórka, wystarczy jego zakończenie „fz” przyłożyć do końca piórka, starannie okręcić nicią szpulkową (zieloną) raz koło raz i zawiązać, a następnie pokryć lakierem (rys. Nr 3).

Podobnie należy postąpić, gdy przytwierdzamy kółeczka „b” do nośników korkowych, z tą tylko różnicą, że koniec „e” uprzednio wbijamy w korek, a dopiero po tej czynności okręcamy zakończenie kółeczka nicią.

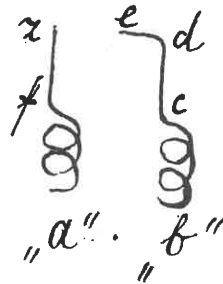
Zaczep. Składa się on z małego prostokątka z cieniutkiej gumki o wymiarach 2 mm × 12 mm i cieniutkiego mosiężnego druczika długości 12 mm.

Celem tej części spławika jest zabezpieczenie go przed swobodnym przesuwaniem się po linewce.

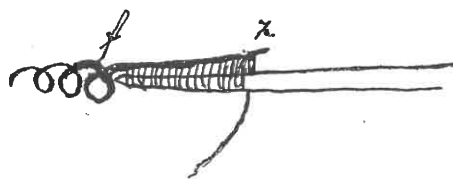
Uskutecznia się to w sposób następujący:

Na rys. Nr 4 widzimy zaczep i sposób oraz miejsce, w jakim ma on być umocowany na piórku spławika.

Mały prostokącik „abcd” przedstawia tu gumkę, kreska pionowa pośrodku prostokątka — drucik, kreski poprzeczne — to umocowanie zaczepu na piórku spławika (zwoje nitki).



Rys. 2



Rys. 3

Widzimy z rysunku, że prostokącik i położony na nim drucik owijamy nicią tylko do połowy wysokości.

Ciężar materiału, zużytego na końcowy pierścień i zaczep (drucik i gumka) razem winien być tak utrafienny, by po ich wrzuceniu do wody utworzył z jej powierzchnią kąt, mający nie więcej jak 45°.

i na złamanym wędzisku Obzarka zostaje tylko pół linewki, reszta niknie w nurcie Wisły.

Obzarek ma głupią minę, nie może zamknąć ze zdziwienia ust; chce coś powiedzieć, a nie może.

— To, panie tego, sum wziął węgorza — wyjaśnia Mistrz. — Szkoda węgorza i takiej porządnej wędki, ale, że od razu urwał, to może nawet ewentualnie lepiej, bo takiego wieprza, to i tak nie wyciągnąłby na wędkę.

Wschód słońca. Chłodno. Trzeba coś zjeść. Pitrasik zagotował herbaty. Zjedli, ale wszyscy bez humoru, bo myślą o tym wielkim sumie, co to porwał węgorza i urwał wędkę.

Znów łowią, ale sam drobiazg. Mistrz tylko wyciągnął dość dużą brzanę.

Zaprasza wędkarzy na naradę i objaśnia:

— „Podeszły brzany, więc teraz, panowie, siadajmy obok siebie na tamie i cichutko do roboty. Mam tutaj taki ser ewentualnie z tłuszczem przyrządzony, na niego pewne brzany, tylko trzeba ciągnąć ewentualnie zaraz po pierwszym ukąszeniu ryby”.

Zakładają ów ser na haczyki, ale mądre ryby ser zjadają i nikt prócz Mistrza, nie może złowić ani jednej brzany.

Widząc niepowodzenie wędkarzy, Mistrz znika i wraca po chwili, przynosząc garść jakichś pędraków, które proponuje zastawić na brzany.

I rzeczywiście na pędraki te biorą brzany, lecz nie większe, niż ćwierćkilogramowe.

Po godzinie brzany przestają brać — widocznie stado poszło dalej.

Łowią więc na owady, zbierane z krzaków, i na motyle. Biorą klenie i płotki.

Bolenie tymczasem wyprawiają istne orgie w pogoni za drobnicą.

Obzarek wypatrzył jedno dość płytkie miejsce, gdzie prawie bez przerwy bolenie „biją” drobne uklejkę, złowił na muszkę małą uklejkę, założył ją na cienką sztuczną żyłkę i z małym podwójnym haczykiem puścił pod wierzchem.

Ukryty w wiklinie nie spuszcza oka z małego spławika na wędce.

Tak blisko już boleń, że, zdaje się, zobaczy błyszczącą na wędce uklejkę, rzuci się na nią i zaczepił na zdradzieckich żądłkach haczyka. Nic z tego. Ominął, a porwał inną, co obok płynęła, lecz nie na wędce.

Monotonny szum fal wiślanych rozmarzył Obzarka i oto zdrzemnął się trochę, trzymając wędkę w ręku. Nie widział już Obzarek, że bolenie już dawno opuściły to miejsce, że natomiast krążyło nad nim kilka rybitw, również polujących na uklejkę.

Jedna z nich dłuższy czas krążyła nad uklejką na wędce Obzarka, kilka razy spadała na wodę, lecz nie zdołała osiągnąć uklejkę, aż ostatni raz porwała ją w dziób i z wędką Obzarka fruwała w górę.

Przerażliwy jej wrzask obudził Obzarka. Spojrzał i zobaczył na swej wędce trzepocącą się rybitwę.

Zbiegli się koledzy. Sensacja nie lada.

— Gratuluję — mówi, kłaniając się, Pitrasik. — Na kiełbia — karp, na węgorza — sum, na uklejkę — rybitwa, to jeszcze chyba tylko na szczupaka — kiełb.

— Teraz, panowie — proponuje Mistrz — rozejdziemy się i ewentualnie będziemy łowić na wszelką przynętę i wszelkimi sposobami.

Tak też zrobiono, ale i tak wynik był słaby. Brała sama drobnica. Mistrz przeprosił, że musi zobaczyć, co się dzieje w warstwie i zniknął.

Wędkarze zgromadzili się na cyplu tamy, odpoczywali i łowili przeważnie na żywca okonie.

— Tak bym chciał złowić wiślanego karpia — mówi Obzarek.

— Dobrze, przyniosę ci kiełbia — oświadcza z powagą Pitrasik — i niebawem dostarcza Obzarkowi małego kiełbika.

Obzarek przygląda się podejrzliwie Pitrasikowi, ale kiełbia zastawia na żywca.

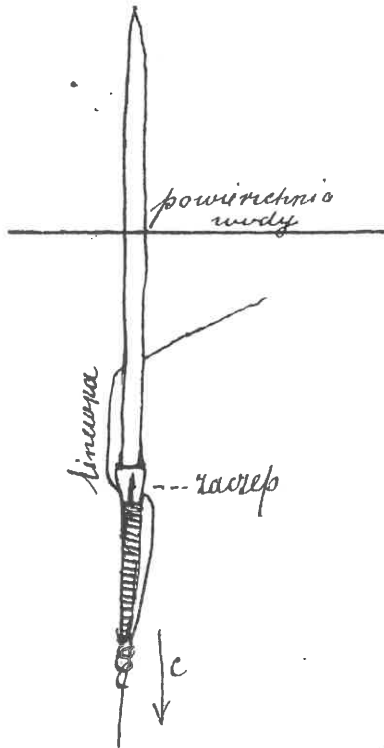
W małej, względnie spokojnej zatoczce, kiełb „chodzi” świetnie. Naraz korek szczupakówki niknie pod wodą, zatrzymuje się,

O ile kąt ten jest bardzo mały, trzeba piórko nieco obciążyć niewielkim plasterkiem ołowiu, który należy podłożyć pod drucik, ściślej mówiąc, pomiędzy drucik a gumkę zaczepu.

Jeżeli szałwiarz po wrzuceniu do jakiegoś naczynia wypełnionego wodą (kubelka, dużego dzbana) całkowicie pogrąży się w niej (tonie), oznaczać to będzie, że materiał, użyty na pierścien przelotny i zaczep, jest zbyt ciężki, a więc należy go zastąpić innym, delikatniejszym



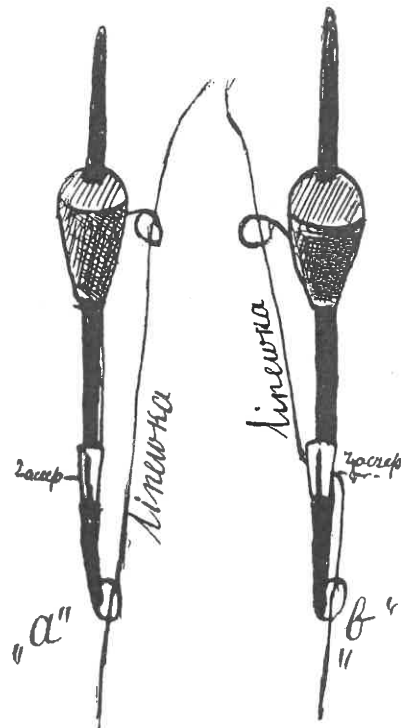
Rys. 4



Rys. 5

(dać cieńsze druciki i mniejszy kawałek gumki, względnie zmienić piórko na nieco grubsze).

W ten sposób powstaje pierwszy typ szałwiarza, zwany „szałwiarzem obciążonym”, który po osadzeniu go na linewce i po wrzuceniu do wody powinien przyjąć kierunek pionowy i pogrążyć się w wodzie do $\frac{2}{3}$ swej dłu-



Rys. 6

gości (zob. rys. 5). Żeby osadzić na linewce ten szałwiarz, wystarczy wprowadzić ją pomiędzy zwoje końcowego pierścienia sposobem okręcania w kierunku, wskazanym przez strzałkę „C”.

a po chwili znów płynie dalej. Obżarek podcina. Jest. Zaczyna „brykać”. Holuje do brzegu. Widać białą, wąską rybę.

— I, śledź — mruczy Obżarek, widząc na wędce małego szczupaczka.

Już blisko brzegu, widać go dokładnie. Wtem, nie wiadomo skąd, za „śledziem” pojawia się duży szczupak, łapie „śledzia” w pół, zrywa go z haczyka i na wędce znów nic nie ma.

— Do diabła z takim łowieniem — mruczy Obżarek i udaje się do kolegów opowiedzieć o wypadku.

Zasiedli w cieniu wikliny do zakąski, jedzą i opowiadają wrażenia.

— Panowie! Panowie! — słyszą głos Mistrza. — Gdzie jesteście?

Zjawia się Mistrz za nim chłopak z kociołkiem.

— Czym chata bogata — panowie ewentualnie nie odmówią. Zupa rybna „po korczyńsku”. Żona przysłała i prosi nie pogardzić.

Zupa rzeczywiście wysmienita, z pulpecikami z ryb po żydowsku.

Wędkarze zażenowani. Chłopaka obdarzają sutym „napiwkami”.

Ponieważ autobus z Korczyzna odchodzi o 18-ej, Mistrz prosi do siebie o 17-ej na herbatę.

Pożywni i zmęczeni gorącem, wędkarze w gęstej wiklinie układają się do odpoczynku.

Drzemią i marzą o tych wielkich wiślanych rybach, których nie złowili.

— O, psiakrew! — przerywa ciszę głos Obżarka, któremu towarzyszy głośnie klapnięcie.

— Co ci się stało? — pytają koledzy.

— Patrzcie, jaki bąk ugryzł mnie w „tonsurę” — odpowiada Obżarek i pokazuje olbrzymiego bąka, którego uderzeniem dłoni zabił na swej łysinie.

— Na takiego to na pewno złowisz bolenia — twierdzi Pitrasik.

Zastawił na wędce bez szałwiarza i złowił, ale klenia, wagi z pół kilo.

Tymczasem od ukąszenia bąka zaczęła Obżarkowi rość na „tonsurze” swędząca „śliwa”, na którą przykładał kompresy z wody, ale to niewiele pomogło.

Przechodzący pastuch radził Obżarkowi obłożyć „śliwę” świeżym nawozem krowim i nawet przyniósł tego nawozu, ale Obżarek nie mógł zdecydować się na taki „kompres”.

Ryby przestały brać zupełnie, tylko bolenie po prostu szalały, tak uganiały się za drobnicą.

W pewnej chwili płynął na łódce rybak, a zobaczywszy wędkarzy, pokazał im pęk węgorzy.

Skorzystali z okazji i zaopatrzyli się u rybaka w świeżo złowione żywe węgorze.

— A co, nie mówiłem — triumfuje Obżarek — żyda-handelca spotkać przed wyprawą na ryby, to znaczy, że z kupionymi rybami powrót z wyprawy.

W Korczyźnie Mistrz już czekał z herbatą.

Przed herbatą zakąska z pozostałych zapasów, zakropiona resztą śliwownicy, później smażona kielbasa z cebulą, specjalność Majstrowej, a na zakończenie herbaty.

Ponieważ okazało się, że Mistrz był nie tylko dobrym wędkarzem, ale świetnym fachowcem, Obżarek kupił od niego sportowe, boksowe kamaszki, Doktor letnie półbuciki, a Pitrasik piękne safianowe ranne pantofelki dla żony.

Rewanżując się za ugoszczenie — Obżarek ofiarował Mistrzowi kołowrotek i kilka angielskich haczyków, a Doktor kolekcję sztucznych muszek, Pitrasik zaś Majstrowej hermetycznie zamknięte kociołki aluminiowe; dzieciaki dostały od wędkarzy kilo cukierków.

Żegnani serdecznie i zapraszani „we wrześnie specjalnie na szczupaki”, nasi wędkarze już bez przygód wrócili do domu.

Mieczysław Gacki.

Po wykonaniu ostatniego obrotu linewka znajdzie się wewnątrz pierścienia, a spławik będzie się wówczas mógł swobodnie po niej przesuwac w dół lub w górę.

Jeżeli obecnie w dowolnym miejscu podsunie my linewkę pod gumkę (nie pod drucik) zaczepu, wówczas spławik zostanie unieruchomiony.

Spławik ten (unieruchomiony) jest bardzo czuły i nadaje się do połowu najlepiej na wodach stojących.

Można go również z dobrym skutkiem użyć, łowiąc drobniec: kiełbie, maleńkie płoteczki, ukleje itp.

Jeżeli teraz na spławik, opisany wyżej, zatknemy nośnik korkowy, a linewkę podany już sposobem (przez okręcanie) przeprowadzimy przez pierścień końcowy oraz przez pierścień, umieszczony na korku, otrzymamy nowy typ spławika, zwany spławikiem „ruchomym” (zob. rys. 6, lit. „a”). Unieruchomiwszy ten spławik przez podłożenie linewki pod gumkę zaczepu, otrzymamy trzeci z kolei typ spławika, który jest najbardziej znany i ma największe u nas zastosowanie (zob. rys. 6, lit. „b”).

Dalsza odmiana polegać już będzie jedynie na za-

mianie nośników o różnych wielkościach, aż do szczupakowego włącznie.

Zdejmowanie nośników uskuteczniamy przez odkręcanie linewki po zwojach ich kółek przelotowych.

Zdejmowanie czy też osadzanie na linewce spławików, względnie tylko samych nośników, jest tak prostą i łatwą do wykonania czynnością, że przy pewnej wprawie możemy to bardzo szybko uskutecznić, nawet po ciemku.

Z powyższego opisu widzimy, że sporządzenie spławika mojego typu wraz z dostateczną ilością zapasową (kolekcją) nośników korkowych jest wprawdzie nieco kłopotliwe i pociąga za sobą pewien koszt, to jednak radzę zwolennikom łowu na wędkę ze spławikiem — zaryzykować.

Proszę więc zająć się tą sprawą, pomajstrować, a trud i koszt na pewno się opłaca, o czym ja sam osobiście już niejednokrotnie miałem możność przekonać się.

St. Kukowski.

W sprawie artykułu „Rzeki naszych gór jako obiekty gospodarcze”

W N-rze 7 „Wiadomości Wędkarskich” ukazał się artykuł p. St. Tur. zatytułowany „Rzeki naszych gór jako obiekty gospodarcze”. Pięknie napisany artykuł, dużo w nim pozorów umiłowania przyrody, troski i łamania rąk nad zamierającym w Prucie pstrągiem — piękny styl — cytaty — niestety jednak mało faktów opartych na stanie faktycznym. Miłe słowa skierowane pod moim adresem nie mogą niestety zatrzeć przykrego wrażenia, że artykuł ten pedyktowany był nie troską o rybostan Prutu, lecz innymi celami, nie mającymi nic wspólnego z „umiłowaniem przyrody”. Bo jeśli p. St. Tur. miał zastrzeżenia co do rzekomo powziętej uchwały, powinien był nie zwlekać przeszło rok z poruszeniem tej sprawy na łamach „Wiadomości Wędkarskich”, lecz uczynić to bezzwłocznie po dyskusji, a wtenczas może pamięć by go nie zawiodła i całą sprawę byłby przedstawił bardziej zgodnie z faktycznym stanem. A jeśli już tak długo zwlekał — lepiej byłby zrobił, gdyby bezpośrednio przed przesłaniem artykułu porozumiał się ze mną, któremu nie szczędzi pochwał — i poinformował się jak faktycznie przedstawia się sprawa odłowów górskich. A jeśli tego nie chciał — mógł sprawę odłowów górskich postawić jako sprawę ogólną, nie tykając Powiatowego Towarzystwa Rybackiego w Kołomyi i nie imputując mu chęci wyniszczenia połowami sieciowymi pstrągów w Prucie. Zaiste złą przysługę wyrządził Pan — Szanowny Panie „St. Tur.” temu T-wu, którego Pan był przez kilka lat członkiem, gdyż w oczach wędkarzy nie należących do Towarzystwa naszego zarzucił Pan rabunkową gospodarkę pstrągiem — a więc zdyskwalifikował Pan pod względem sportowym cały Zarząd Towarzystwa. Niech mi więc będzie wolno na tych samych łamach przedstawić stan faktyczny całej sprawy.

Powiatowe Towarzystwo Rybackie w Kołomyi, którego Prezensem jestem od lat 9-ciu — dzierżawi 6 obwodów Prutu od Jamny w pow. Nadwórniańskim do Zabłotowa w pow. Śniatyńskim i jeden obwód Pistynki od mostu w Pistyniu do ujścia (pod Kołomyją). Do obwodów pstrągowych zaliczyć można właściwie tylko obwód IV. Prutu i część obwodu V. Prutu, a więc teren od Jamny po Delatyn. I te obwody jednak nie są czysto pstrągowe, gdyż aż po wodospad w Jaremczu obfitują w klenia, brzanę, świnkę i miętusa. Niższe obwody aż mniej więcej po Łanczynie zarybiane od kilku lat pstrągiem — nie mogą na razie być uważane za tereny pstrągowe, gdyż — czy to z powodu b. niskiego stanu wody w miesiącach letnich, czy też grasowania innych ryb — połów pstrąga tęczowego na wędkę należy do wyjątków i trafia się najczęściej przypadkowo wędkarzom łowiącym brzanę na robaka. Na wspomnianym pstrągowym obwodzie ilość pstrąga wbrew żalom p. St. Tur. nie tylko nie zmniejsza się i nie grozi wymarciem, lecz przeciwnie z roku na rok się poprawia, a to dzięki stałemu zarybianiu (w b. r. na tym odcinku wpuszczono 25.000 narybku pstrąga), intensywnemu pilnowaniu i ograniczeniu wydawania zezwoleń osobom, co do których nie ma się pewności, że połów traktują sportowo. Jeśli zaś chodzi o obwody dolne, na których odbywają się odłowy ryby białej (90% świnki) i o których mówi p. St. Tur., „że rybostan w nich w ostatnich latach zastraszająco się zmniejszył” — możemy zapewnić Pana St. Tur., że tak źle sprawa nie wygląda i jeśli weźmiemy pod uwagę rybostan ostatnich dwóch lat, a również, jak na razie, roku obecnego — to stan białej ryby raczej... zastraszająco się podniósł, a odłowy pozwoliły Towarzystwu dojść do zupełnej równowagi finansowej, zachwianej poważnie skutkiem 2 lat „suchych”. A te suche

lata to nie wynik ani złej gospodarki — ani grzechów rumuńskich, lecz niezbadanych przyczyn wędrówki ryb i nagłego pojawiania się jej w większych ilościach i znikania — warunków atmosferycznych, hydrograficznych i wielu, wielu innych. Roczne ciężary, wynikające z dzierżawy 7-miu obwodów rzecznych, a więc czynsze dzierżawne, straż, zarybienie itp. wynoszą około 6.000 zł. Ze składek członkowskich (o ile je członkowie płacą) i zezwoleń dla nieczłonków uzyskujemy rocznie około 1.000 zł. Jeśli więc rok np. 1934, który przyniósł dochodu ze sprzedaży ryb netto około 36 zł., chcielibyśmy ratować odłowem pstrąga, to musielibyśmy dla uzyskania około 5.000 zł. brakujących na pokrycie wydatków odłowić ponad 1.200 kg pstrąga i sprzedać go po zł 6 za 1 kg (brutto). Tymczasem w ciągu 9 lat ilość odłowionego dla sprzedaży pstrąga nie przekracza 20 kg i często koszt połowu nieudanego przekroczył dochód uzyskany ze sprzedaży pstrąga. Jak z tego wynika, poruszając na Walnym zebraniu w roku 1938 sprawę odłowów pstrąga nie chodziło nam o zrobienie na tym majątku, ani o ratowanie połowami pstrąga na jednym obwodzie deficytów 6-ciu innych obwodów. Kierowały nami zupełnie inne motywy. Chcielibyśmy próbować, czy ewent. dostarczenie pstrąga w drodze legalnej restauratorom w dolinie Prutu nie odbije się korzystnie na zwalczaniu kłusownictwa. Bo znana jest rzeczą, że każdy pensjonat czy restauracja w Jaremczu i okolicy uważa za punkt honoru podawanie pstrągów, a kupowanie ich u kłusowników ma usprawiedliwiać fakt, że w inny sposób nabyć ich nie można. Gdyby ta okoliczność istotnie mogła wpłynąć na zmniejszenie kłusownictwa, byłibyśmy odłowy kontynuowali, a uzyskany dochód użyli na intensywniejsze zarybienie, wyrównujące ew. braki powstałe skutkiem odłowów. Doszliśmy jednak mimo przekonania, że umożliwienie legalnego handlu pstrągiem nie powstrzyma restauratorów od tranzakcji z kłusownikami, lecz przeciwnie posiadanie jednorazowego świadectwa pochodzenia pewnej ilości pstrągów służyć będzie za pokrywkę przy nielegalnym handlu. Dlatego odłowów zaniechaliśmy.

Pomijając jednak ten fakt — czy odłowy — oczywista umiejętnie przeprowadzone — byłyby istotnie wielkim grzechem z punktu widzenia sportowego? Powołuję się tu na zdanie bardzo zasłużonego dla spraw rybołówstwa Inspektora Rybactwa na terenie województwa lwowskiego i stanisławowskiego p. Inż. M. Janiszewskiego, który w sprawie tej zajmuje zupełnie inne stanowisko niż p. St. Tur. Czy ewent. odłowienie kilku grubszych sztuk zagrożających swemu własnemu potomstwu byłoby istotnie takim grzechem? Przy obecnie tak silnym rozmożeniu się w Prucie na przetrzeleni od Wodospadu w Jaremczu do Delatyna klenia i miętusa — a więc znanych szkodników, odłowienie przy okazji połowów sieciami nawet pewnej ilości pstrąga wyrządziłby zdanem moim mniejszą stratę, niż pozostawienie tych rabusiów wodnych w spokoju, by żywiły się tak drogo opłacamym narybkiem i ikrą pstrąga. Zresztą sprawy te — jako mające zasadnicze znaczenie — mogły być poruszone przez p. St. Tur. na łamach „W. W.” i nic nie miałbym przeciw temu, gdyby nie fakt, że artykuł ten oparty został na zupełnie fałszywych danych i mimo pięknych — poetycznych nieraz połotów — rzuca Pow. Tow. Ryb. w Kołomyi poważne zarzuty, mogące wywołać u osób nie obznajomionych z faktycznym stanem rzeczy poważne wątpliwości co do jego gospodarki.

Złą przysługę wyrządził Pan kołomyjskiemu Towarzystwu rybackiemu, którego członkiem był Pan przez kilka lat. Umiłowanie

przyrody — dążność przez Przyrodę do Boga — bardzo ładne to frazesy — jakżeż jednak niezgodne z czynami. Przemyslił Pan rok przeszło nad tym problemem, martwił się Pan, przechodząc różne wewnętrzne procesy — czy podczas tego wszystkiego nie zrobił Pan rachunku sumienia ze Swego stosunku do Towarzystwa. A ma Pan tu poważne grzechy. Na Pański wniosek stworzono w Zarządzie sekcję samoobrony i propagandy, mającą na celu walkę z kłusownictwem i zanieczyszczaniem wód. Wybrano Pana przewodniczącym tej sekcji — zwołał Pan jedno posiedzenie — na które sam się nie stawił — no i sekcja stworzona przez Pana przestała istnieć. Obiecał Pan swą współpracę przy opracowywaniu nowego statutu, kazał Pan sobie przesłać projekt tegoż statutu. 8 miesięcy mija od tego czasu, a Pan poza kilku obietnicami nie daje znaku życia.

Platoniczne umiłowanie przyrody nie uratuje pstrąga — trzeba trochę realnej pracy i spełniania dobrowolnie przyjętych na siebie obowiązków.

Tadeusz Czechowicz

Prezes Powiat. Tow. Rybackiego
w Kołomyi.

Do

P. T. Redakcji „Wiadomości Wędkarskich“

w Warszawie.

Artykuł p. St. Tur w Nr. 7 „Wiadomości Wędkarskich“ p. t. „Rzeki naszych gór jako obiekty gospodarcze“, kwestionujący racjonalność odbywania odłowów na terenach górskich — wywoła zapewne odpowiednią reakcję Prezesa Kołomyjskiego Powiatowego Towarzystwa Rybackiego. Ja pragnę poruszyć sprawę zasadniczą. Uważam, że przy rozpatrywaniu tej kwestii nie można brać pod uwagę charakteru górskiego, podgórskiego czy też nizinnego danych wód, lecz rodzaj ich rybostanu. Bo jeśli obwód górski, obfitujący w pstrąga posiada poza tym takich rabusiów jak kłen czy miętus (a te niestety w dość silnym stopniu zaaklimatyzowały się na przestrzeni od wodospadu w Jaremczu w dół) — to uważam, że nie tylko dopuszczalnym — lecz koniecznym jest przeprowadzenie odłowów, gdyż nawet strata pewnej ilości pstrągów, które wpadną w sieci i ulegną okaleczeniu nie będzie tak dotkliwa, jak straty wyrządzone pożarciem ikry, narybku, a nawet dojrzałych już egzemplarzy pstrąga przez klenie i miętusy.

Jeśli zaś chodzi o wody czyste pstrągowe (na terenie Prutu od wodospadu w Jaremczu w górę), to pod dyskusję poddaję opinię niemieckiego hodowcy i sportowca-pstrągarza dr. Emila Waltera, który w książce swej „Die Bewirtschaftung des Forellenbaches“, polemizując z żądaniem sportowców ograniczenia połowów na wodach pstrągowych do wędkę — tak między innymi uzasadnia swe stanowisko konieczności przeprowadzania nawet na czysto sportowych terenach pstrągowych odłowów sieciami: Uważa on za konieczne utrzymanie na wodach pstrągowych (i innych) pewnego stosunku ilościowego płci — uważając za zadawalniący stosunek samiec do samców jak 1 : 2. Twierdzi jednak, że niestety stosunek taki nigdzie nie istnieje i że dochodzi do tego stanu, że stosunek ten przedstawia się często jak 1 : 10, a nawet 1 : 15 na niekorzyść ikrzaków. Stan ten doprowadza z czasem do zupełnego wyjałowienia samców i w rzece na pozór bardzo rybnej naturalny przyrost z roku na rok maleje skutkiem ciągłego jałowienia ryb. Jeśli ograniczy się połowy tylko do wędkarstwa, stosunek ten ulega dalszemu pogorszeniu, znaną bowiem jest rzecz (według Waltera), że samice — jako bardziej żarłoczne intensywniej żerują — a więc częściej wpadają na hak. Przyczyna ich większej żarłoczności ma leżeć także w tym że proces rozmnażania, podczas którego wydzielają one w całości ikrę i to w większej ilości niż samce mleczko — bardziej je wyczerpuje i zmusza w okresie wiosennym do intensywniejszego żerowania dla odrobienia straconych na tarle sił i zyskania nowych dla wyprodukowania nowej ikry. Przeciwnie zaś mleczaki, wydzielając o wiele mniej produktów rozrodczych i to nie w całości, gdyż — szczególnie przy nadmiarze mleczaków — część tych produktów z powrotem resorbują — oznaczają się mniejszą żarłocznością, a co za tym idzie mniej ich staje się ofiarą wędkarza. Ta większa żarłoczność samic — przy ograniczaniu połowów pstrąga do wędkę — przyczynia się jeszcze bardziej ujemnie do ustosunkowania się obu płci co do ilości.

Dlatego zaleca dr. Walter odbywanie nawet na czysto pstrągowych obwodach połowów sieciami i wpuszczanie do wody z powrotem złowionych — a nieuszkodzonych — samic.

Czy teoria dr. Waltera jest słuszną — sprawę tę pozostawiam do oceny fachowców. Ze swej strony nadmienię, że w r. 1938 lowiąc pod koniec sierpnia w Prucie pstrągi, a więc w czasie gdy produkty rozrodcze są już wykształcone — miałem możność przekonania się, że istotnie większość złowionych egzemplarzy stanowiły ikrzaki.

Alger.

Kobieta w sporcie wędkarskim

Niezmiernie się cieszę, że poruszona sprawa czynnego udziału kobiet w uprawianiu wędkarstwa sportowego znalazła jednak pewien oddźwięk, czego wymownym przykładem jest artykuł p. Juliusza Lorcha pt. „Czy kobieta może być wędkarzem?“, zamieszczony w Nr 7/37 „Wiadomości Wędkarskich“.

Autor artykułu w swych rozważaniach na ten temat dochodzi do zupełnie słusznego wniosku, że również i kobieta może być dobrym wędkarzem-sportowcem. Dla poparcia tego twierdzenia autor przytacza przykład, iż we Francji i w Niemczech sport wędkarski cieszy się wielką popularnością wśród kobiet.

Ażeby ten argument jeszcze bardziej wzmocnić, dodam ze swej strony, iż sport wędkarski jest bardzo popularny i wśród kobiet nie tylko we Francji i w Niemczech, ale i w całym szeregu innych krajów, jak Anglia, Stany Zjednoczone A. P. itp. A przecież w tych krajach sport wędkarski stoi na bardzo wysokim poziomie. Na specjalne podkreślenie, zasługuje fakt, iż kobiety w Stanach Zjednoczonych korzystają nawet w pewnych stanach z daleko idących uprawnień i przywilejów. Mianowicie, istnieją tam tereny wędkarskie, przeważnie na wodach górskich, na których wędkowanie dozwolone jest właśnie tylko kobietom. Rewelacyjne do pewnego stopnia dla wędkarzy-sportowców wiadomości na ten temat przyniosła ostatnio prasa codzienna.



Zakątki Stuchodu

Fot. Edward Brzozowski w Warszawie

Czym kierowali się Amerykanie, rezerwując specjalnie dla kobiet pewne tereny wędkarskie?... Przypuszczając należy, że w danym wypadku odegrały rolę następujące względy: 1) ilość kobiet uprawiających sport wędkarski jest tak duża, że aby mogły z całą swobodą uprawiać ten królewski sport, tak bardzo ceniony przez Amerykanów, wydzielono dla nich specjalne tereny; 2) kobieta uprawiająca sport wędkarski na terenach wspólnie z mężczyznanami, w razie jakichkolwiek niepowodzeń lub braku znajomości sztuki wędkowania (zwłaszcza w okresie początkującym), może być, i jest z pewnością, narażona na drwiny i złośliwe uwagi ze strony mężczyzn, na co zresztą również w swym artykule zwraca uwagę p. Lorch, nadmienając jednocześnie, iż te kpiny skończą się i „przemiana wraz z pierwszą złowioną rybą“.

Jestem pewna, że wielu rutynowanych wędkarzy mocno sobie pokpiwa z początkujących kolegów, zdawać by się więc powinno, że nie będzie w tym nic nadzwyczajnego, gdy kpiny te zostaną skierowane pod adresem jakiejś nowicjuszek w sporcie wędkarskim. Tak, zgoda... ale nie należy zapominać, iż kobieta, jako istota z natury bardziej wrażliwsza, może zbyt mocno wziąć te kpiny do serca. Trzeba więc jej zaoszczędzić tych niepotrzebnych przykrości.

Podając powyższy przykład o sytuacji kobiet amerykańskich w sporcie wędkarskim, nie mam bynajmniej zamiaru wystąpić z żądaniem, aby i kobiety polskie dla uprawiania sportu wędkarskiego otrzymały specjalne tereny, lecz jedynie po to, aby udowodnić liczny udział kobiet amerykańskich w tym sporcie.

Jeżeli kobieta amerykańska lub też Angielka, Niemka, Francuzka może być dobrym wędkarzem-sportowcem, to niewątpliwie może nim być i kobieta polska. A że tak jest, jako przykład mogą służyć te Towarzystwa Wędkarskie, w których kobiety są członkami od lat i sport wędkarski uprawiają na równi z mężczyznami i z niemiejszym do nich powołaniem.

P. Lorch w swym artykule proponuje, aby Towarzystwa Wędkarskie wypowiedziały się w związku z tym zrobić małą uwagę, że chyba wypowiedzanie się na ten temat jest zbędne, bo przecie wśród zorganizowanych wędkarzy-sportowców nie znajdują się tacy, którzy by chcieli kwestionować to prawo kobiety, co zresztą p. Lorch w końcu swego artykułu również przewiduje.

Po cóż więc zastanawiać się nad problemem, który dla każdego jest jasny?

Jestem zdania, z którym, mam nadzieję, i autor artykułu „Czy kobieta może być wędkarzem?” również się zgodzi, że akcja rozwinęta na łamach „Wiadomości Wędkarskich” winna nosić raczej charakter propagandowy, a to w kierunku wciągnięcia do szeregów zorganizowanego wędkarstwa większej niż dotychczas ilości kobiet, a przez to samo jeszcze większego spopularyzowania tego sportu. Nie wątpię, że akcja taka da jak najlepsze rezultaty i przysporzy sportowi wędkarskiemu liczne zastępy wędkarzy-sportowców kobiet, które przecież i w życiu organizacyjnym Towarzystw Wędkarskich mogą oddać bardzo poważne usługi.

Czynny udział kobiet w sporcie wędkarskim będzie miał jeszcze i tę dodatnią stronę, że będzie pewnego rodzaju bodźcem dla mężczyzn, aby na tym polu nie dać się zdystansować kobiecie. Będzie to więc szlachetna walka rywalizacyjna, a na takiej właśnie walce zyskać tylko może dobro sportu wędkarskiego. A na tym przecież wszystkim nam powinno chyba bardzo zależeć.

Wszystkich, którzy w dyskusji na ten temat pragnęliby użyć argumentu, że kobieta może szybko zrazić się do uprawiania sportu wędkarskiego, gdy... „Nie jeden raz komary boleśnie potną nóżki, deszcz porządnie przemoczy, a słońce nieśmiłosiernie opali”, mogę zapewnić, że wskutek tych właśnie trudności wielu mężczyzn zarzuciło uprawianie sportu wędkarskiego, a jednak nikt z tego powodu nie rozpacza i rąk nie załamuje. Dlaczego?... Były to niewątpliwie natury słabsze, które nie potrafiły wykrzesać w sobie tak wielkiego zamiłowania do wędkarstwa, kiedy tego rodzaju trudności potrafiły ich zniechęcić.

Sądzę, że dla sportu wędkarskiego nie była to zbyt bolesna strata, jak nie będzie również stratą odpadnięcie pewnej ilości kobiet, które w obawie przed komarami lub promieniami słonecznymi opuszczają szeregi wędkarzy.

Myślistwo jest przecież również sportem, który wymaga poważnego wysiłku fizycznego i pokonywania różnych trudności w terenie, a jednak wiele kobiet sport ten uprawia z dużym powodzeniem. Możecie więc panowie wędkarze-sportowcy być pewni, że to samo będzie i w sporcie wędkarskim.

Barbara Kwiatkowska.



Wiosna na Cnie.

Fot. Edward Brzozowski Warszawa

Cherchez la femme

Szanowny Kolega p. Juliusz Lorch zapytuje w Nr 7 „Wiadomości Wędkarskich”, czy kobieta może być wędkarzem?

A dlaczegożby nie, skoro może być posłanką na Sejm, lekarzem, prawnikiem, inżynierem, amazonką, automobilistką, pilotką, taternistką, tenisistką itd. itd.? Dla białogłowy w dzisiejszej dobie dostępne są wszystkie gałęzie sportu, dlaczegożby więc wędkarstwo miało być wyjątkiem w tym względzie?

Tego pojąć nie mogę. Nie podzielam również obaw p. Kolegi Lorch na temat „boleśnie pociętych przez komary nóżek”, bo: primo — kto wie, czy kobieta na ogół (mimo pozorów) nie jest bardziej wytrzymała, aniżeli mężczyzna, zwłaszcza kiedy jej na tym zależy; secundo — komary mogą pociąć (i tną bestie bez pardonu!) piękne nóżki w zgoła innych okolicznościach, niczym z wędkarstwem nie związanych. I kobiety, o ile wiem, doskonale wytrzymują tę „cięcia”, a ściślej mówiąc, psioczą tak jak i my, mężczyźni, na rój atakujących nas komarów. I nic dziwnego, bo przecież z jednego ciała jesteśmy.

Zresztą jest to kwestia indywidualnej wytrzymałości, a nie przeszkoda, uniemożliwiająca paniom uprawianie sportu wędkarskiego.

Autor artykułu „Czy kobieta może być wędkarzem?” wysuwa jakieś, bliżej nieokreślone, obawy czy też powątpiewania co do możliwości udziału kobiet w sporcie wędkarskim. Możeby Szanowny Kolega jasniej wypowiedział się, o co właściwie chodzi?

Dlaczego sprawa należenia kobiet do towarzystw wędkarskich jest — jego zdaniem — „więcej, jak może pozornie się wydaje, skomplikowana”?

Nie, Szanowny Panie Kolego, sprawa ta wcale nie jest skomplikowana i nie należy jej bynajmniej komplikować, rozpisując ankietę na temat: „Czy kobieta może być wędkarzem?”

Ależ naturalnie! Tak jest, może, skoro sobie tego życzy. O ile mi wiadomo, ani statuty poszczególnych Towarzystw Wędkarskich, ani też Konstytucja Rzplitej nie ogranicza praw kobiety. Nie widzę więc żadnych absolutnie przeszkód, które by uniemożliwiały kobietom wstąpienie do szeregów wędkarskich.

Szanowny Autor wyraża obawę: „wytworzyłoby to pewne dysonanse, które ostatecznie zmusiłyby Zarządy Towarzystw do uregulowania tejże sprawy”.

Jakie znów dysonanse? Dlaczegoż zaraz tragedia? (Zdaje się, że taki jest tytuł sztuki, granej ostatnio na scenach polskich).

Jeszcze raz zapytam: o co właściwie chodzi?

(Czy przypadkiem nie są to „lokalne” obawy Szanownego Autora, że żony wędkarzy będą łowić bez dodatkowej opłaty? Jeśli tak, jest to zupełnie odrębna kwestia, nie mająca nic wspólnego z poruszonym tematem).

Zgadzam się, że można dyskutować na temat: „kobieta a sport wędkarski”, ale nie wolno rzucać w dyskusji tak rygorystycznego pytania: czy kobieta może być wędkarzem? Na to pytanie istnieje tylko jedna odpowiedź: oczywiście, że może.

W ewentualnej dyskusji na omawiany temat zdania z pewnością będą podzielone. Znajdą się i zwolennicy i przeciwnicy rozpowszechniania sportu wędkarskiego wśród kobiet. Z tych lub innych powodów. Mniejsza o to, bo — moim zdaniem — my, mężczyźni, ostatecznie niewiele mamy do gadania w tej sprawie. Nie nasze zdanie będzie decydujące. Głos tu mają przede wszystkim kobiety i jeśli będą miały ku temu ochotę, to gromadnie zapiszą się w szeregi wędkarzy. Wszak nie darmo się mówi, że „gdzie diabeł nie może itd.”.

No i co wtedy?

Najwyżej grupka niezadowolonych wędkarzy płci brzydkiej zmuszona będzie odseparować się na wzór „klubu kawalerów” i założyć towarzystwo wędkarskie wyłącznie dla mężczyzn. (W tym wypadku nie daj Boże, aby referentem w urzędzie, zatwierdzającym statut tego T-wa, była... kobieta). Ale gdyby nawet tak się stało, to czy fakt ten mógłby wpłynąć ujemnie na rozwój wędkarstwa wśród kobiet? Wątpię bardzo.

Zresztą, nie zagłębiajmy się w tak daleką i mglistą przyszłość, bo to nie ma najmniejszego sensu.

W poczuciu terażniejszości śpieszę na tej drodze zaprosić w nasze szeregi wszystkie Panie, miłujące wędkarstwo. Serdecznie witamy!

A do Panów apel: cherchez la femme! cherchez la femme! Szukajcie kobiety!

Bo cóż wart jest ten świat bez kobiet, a kobiety bez nas?

Mam wrażenie, że i ten temat także nie wymaga szerszej dyskusji ani ankiety.

Prawda?

Henryk Brzeski.

Przeglądając dość często listy członków zrzeszonych towarzystw, zastanawiałem się nieraz nad tym, czemu na tych, obejmujących około 3.000 nazwisk listach znajduje się zaledwie parę należących do płci pięknej. Przyszedłem do przekonania, że na przeszkodzie popularyzacji naszego sportu wśród pań stoją poważniejsze przyczyny. Wchodzą tu w grę specjalne cechy charakteru, usposobienie i w ogóle odmienne od mężczyzn właściwości ducha, niesprzyjające wędkarstwu. Poza tym poważną rolę odgrywa rodzaj pracy, której oddaje się kobieta w domu — przy wychowaniu dzieci i gospodarstwie domowym.

Jeżeli jednak te momenty przestaną odgrywać rolę, to powinniśmy przyłożyć wszelkich starań, by zachęcić panie do naszego sportu i umożliwić im jego uprawianie. Znam parę małżeństw wspólnie uprawiających wędkarstwo i uważam to jako ideał doskonałości społeczno-rodzinnej.

Uzupełniając informacje p. B. K., dodaje, że w Anglii powstał niedawno specjalnie damski klub Ulster Lady Anglers Club w Belfascie. Nie sądzę jednak, by Polki musiały tworzyć dla siebie oddzielne organizacje sportowe.

W. C.

Jak sporządzić samemu sztuczną muszkę

Na wodach bieżących, szczególnie zaś na bystrych potokach górskich, sztuczna muszka należy do przynęt niezbędnych, częstokroć wyłączających inne przynęty. Prócz tego wybitnie sportowy charakter tej przynęty oraz łatwość jej stosowania skłaniają do zwrócenia na nią pilniejszej uwagi.

Spotykane w handlu sztuczne muszki (poza nielicznymi wyjątkami) służą chyba bardziej do zaniecawiania rybaków niż ryb. Są to cudowne twory fantazji różnych mistrzów i fabrykantów, mieniające się wszystkimi barwami tęczy, lecz niestety — bez odpowiednika w naturze, którą podobno usiłują naśladować. Nic też dziwnego, że złowienie pstrąga czy lipienia na taką przynętę może nastąpić tylko na bardzo szybkim prądzie i o zmroku, gdy ryba niewiele widzi, przeważnie zaś jako rezultat przypadku.

Te względy, a także wysoka cena muszek fabrycznych, często zaś brak odpowiednich muszek w handlu, skłoniły mnie do fabrykowania muszek domowym sposobem. Ponieważ sporządzanie samemu sztucznych muszek nie przedstawia większych trudności dla przeciętnego wędkarza, przeto nie od rzeczy będzie, gdy na łamach „Wiadomości Wędkarskich” podzielę się z ogółem własnymi z tego zakresu doświadczeniami. Nawiasem dodam, że moje doświadczenia z muszkami własnego wyrobu zostały uwieńczone sukcesami, przewyższającymi sukcesy osiągnięte przy pomocy zwykłych muszek fabrycznych.

Sporządzenie sztucznej muszki musi być poprzedzone obserwacją natury. Należy wieczorną porą przejść się wśród krzewów i drzew, porastających brzegi rzeki, na której zamierzamy łowić, i zaobserwować, jaki gatunek muszek unosi się nad wodą. Pora wieczorna jest, jak wiadomo, okresem gromadnych wlotów much, zatem o tej porze najłatwiejsza będzie nasza obserwacja, nawet schwytywanie paru okazów na wzór.

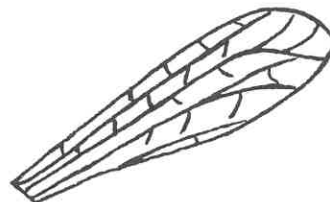
Poza tym należy postarać się o następujące materiały: haczyki małego kalibru, cienkie żyłki, nici bawełniane czarne, białe, żółte (różnych odcieni), brązowe, granatowe itp., pióra wronie, kurze lub z innych ptaków, barwne kawałki cienkiego celofanu, lakier przezroczysty, np. lakier celuloidowy i kilka małych kawałków korka lub t. zw. dutki z piór. Materiały te są dla każdego łatwe do zdobycia.



Rys. 1

Haczyki winny być drobne, z dobrej stali i bardzo ostre. Ostrza ich można jeszcze dodatkowo naszlifować na marmurku do gładzenia noży. Ostrość haczyków stanowi jeden z najgłówniejszych atrybutów wędkarza, łowiących na muszkę, gdyż ryba, atakująca przynętę muszkową, czyni to na ogół delikatnie i dość niedbale. Zatem, gdy haczyk nie jest dość ostry, następuje ześlizg jego, no i w rezultacie „pudło” dla wędkarza, gdy zacięcie trafia w próżnię. Celofan służy do zrobienia skrzydełek muszce, zatem winien być cienki i przezroczysty. Można do tego celu użyć stare błony filmowe, które naprzód należy namoczyć w wodzie i usunąć z nich pokrywającą je czarną emulsję. T. zw. papier szklisty do tego celu się

nie nadaje, gdyż zbyt rozmięka w wodzie i traci swą elastyczność. W braku celofanu możemy użyć do wyrobu skrzydełek piór ptasich, mają one jednak tę wadę, że łatwo rozszczepiają się w wodzie i tracą formę skrzydełek, a także są mniej trwałe od celofanu, zwłaszcza gdy w czasie dłuższego łowienia ulegną kilkakrotnemu obskubaniu przez drobnicę.



Rys. 2

Mając przygotowany materiał, przystępujemy do sporządzenia muszki. Naprzód wycinamy skrzydełka. Jeżeli za materiał służą nam pióra, wycinamy je podług rysunku 1, tak, by przeciąć nożyczkami oś pióra w dwóch miejscach. Otrzymujemy wtedy dwie chorągiewki złożone z osią, czyli parę skrzydełek (część zakreskowaną na rys. 1). Końce skrzydełek należy zaokrąglić nożyczkami. Barwa pióra może być czarna, żółta, brudnobiała lub w plamki, zależnie od gatunku muszki. Mając do wyboru celofan, wycinamy z niego nożyczkami dwa skrzydełka według wzoru na rys. 2. Siateczkę na skrzydełkach można narysować czarnym tuszem przy pomocy grafionu lub też wyrycić siateczkę igłą i następnie wetrzeć w rysy czarną farbę, a po zaschnięciu utrwalić ją lakierem przezroczystym. W ten sposób sporządzone skrzydełka celofanowe imitują do złudzenia skrzydełka jętki, która jest, jak wiadomo, najbardziej ulubionym przy-



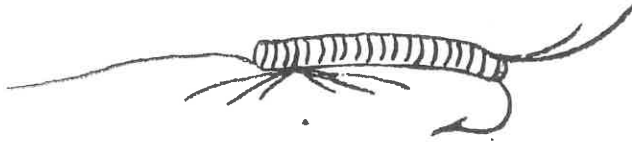
Rys. 3

smakiem dla ryb. Dalszym etapem naszej pracy będzie nawiązanie przyponu żyłkowego do haczyka i zaopatrzenie go na przeciwnym końcu w pętelkę, umożliwiającą połączenie przyponu ze sznurem wędkowym. Następnie odcinamy kawałek dutki pióra (lub kawałek korka kształtu cienkiego wałeczka) i umieszczamy na haczyku po stronie przeciwnej od ostrza (rys. 3). Będzie to rdzeń odwłoka muszki, a zarazem pływak, unoszący przynętę na powierzchni wody. Dobrze zrobiona muszka winna unosić się na powierzchni wody sama, bez pomocy ruchu sznura wędkowego lub prądu wody. Jest to szczególnie ogromnie ważne, gdyż ścisła obserwacja poucza nas, że większość much siada na powierzchni wody i spływa swobodnie z prądem, nie wykonując żadnych czynnych ruchów. Chcąc zatem naśladować naturę, musimy ten szczegół mieć na uwadze. Wydaje mi się, że nie popełnię dużej nieścisłości, gdy zaryzykuję twierdzenie, że szczególnie ten bywał w fabrykacji muszek sztucznych dotychczas całkowicie ignorowany. W dalszym ciągu naszej pracy okręcamy nicią pływak wraz



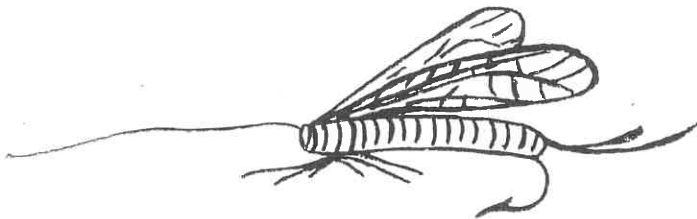
Rys. 4

z haczykiem, starając się o to, by zwoje były ułożone równo i jedną warstwą. Dalsze warstwy są zbędne, gdyż obciążąłyby niepotrzebnie muszkę, a tego należy unikać. Okręcanie zaczynamy od końca „odwłoka” i pierwszym zwojem nici przychwytyjemy dwa włókna z piór, mające naśladować „ogonek” jętki, widlasto rozszcepiony (rys. 4). Następnie po zakończeniu zwojów



Rys. 5

i związaniu węzła (przy główce muszki) przywiązujemy od spodu przy pomocy szeregu zwojów czarnej nici kilka dalszych włókien z piór, mających imitować nogi muszki. Wreszcie przywiązujemy mocno tą samą nicią

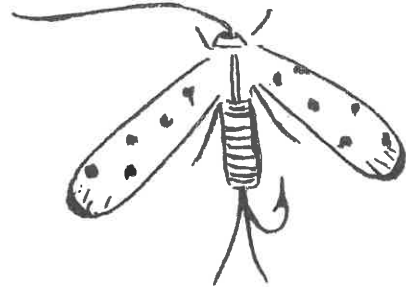


Rys. 6

od strony grzbietu przygotowane poprzednio skrzydełka celofanowe (rys. 6) lub z piór (rys. 7) i muszka gotowa. Całość utrwalamy cienką warstwą lakieru przezroczy-

stego, który chroni muszkę od nasiąkania wodą, zatem ułatwia jej unoszenie się na powierzchni oraz zabezpiecza haczyk przed rdzewieniem.

Na zakończenie tych wskazówek kilka uwag praktycznych. Robiąc „odwłok” muszki, nie należy zbyt silnie ściągać nici, gdyż rdzeń z korka czy pióra uległby zgnieceniu, przez co muszka straciłaby swą wyporność i tym



Rys. 7

samym zdolność unoszenia się na powierzchni wody. Kolor nici dla jętki winien być blado-żółty. Do innych muszek można użyć nici i w innych kolorach. Dobrze jest zrobić z innego koloru nici pierścienie odwłoka, nawijając na stan gospodarczy warstwę drugą w rzadkich odstępach. Należy jednak unikać barw zbyt jaskrawych oraz połączenia barwy jasno-żółtej z czarną, gdyż połączenie takie jest dla zwierząt kolorem odstrasającym (przykład: salamandra, osa itp.). Należy również pamiętać o ogólnej zasadzie, że przynęta jest wtedy celowa, gdy ma jak najmniejsze odchylenia od swego pierwowzoru, który naśladuje — naturę.

W. R.

W obronie wędkarstwa

Spośród różnych głosów omawiających rozmaite sprawy dotyczące sportu wędkarskiego, umieszczanych na łamach „W. W.”, na pierwszym miejscu wyróżniają się i rzucają w oczy organizatorom tego sportu — lekceważenie i niechętnie odnoszenie się społeczeństwa do mozolnych wysiłków ludzi, rozpoczynających orkę, tej od dawna nieruszanej u nas gleby.

Nie wolno nam, organizatorom tego sportu, przechwalać się, nie wypada popisować się czynami. Ale mogą zreszteni wędkarze zapytać całe, w tym względzie niezainteresowane społeczeństwo, dlaczego dla sprawy, która nie tylko ze względu na wypadek wojny, ale w czasach najbardziej pokojowych, była za granicą od dawna otaczana wielką opieką i zrozumieniem przez najwybitniejsze sfery tamtejszego społeczeństwa, u nas nie ma zrozumienia?

W Nr 3 „W. W.” we wstępnym artykule Prezesa Związku Sportowych Towarzystw Wędkarskich R. P. p. Wł. Czerwińskiego, pod tytułem „Zwątpiłem”, ku naszemu niemałemu zdumieniu dowiadujemy się, że i niektóre władze nie wykazują czasem zrozumienia dla spraw zżeszzonego wędkarstwa.

Jako trochę doświadczony, bo już 11-ty rok przewodnicząc w Towarzystwie wędkarskim i szczególnie z uwagi na przeczytany wspomniany artykuł, pozwolę sobie w niniejszym zwrócić uwagę Czytelników nie tylko na sprawy, które są związane z „maniactwem”, jak jedni chcą nazywać sport wędkarski, ale i na dotychcza-

sową pracę tych „maniaków” dla dobra gospodarki na obwodach rybackich.

Zanim wspomnę w kilku słowach o tej pracy, pragnę zapytać się tych wszystkich lekceważących sport wędkarski, kto mógł w okresie powojennym zwracać uwagę na stan gospodarczy naszych rzek? Kogo interesowało, co i jak się dzieje na poszczególnych obwodach rybackich? Czy znalazł się w owym czasie obywatel nie wędkarz, któryby zganił nieład, wykroczenia i zupełnie dowolny sposób rządzenia się niektórych dzierżawców na dzierzawionych przez siebie obwodach i wskazał, że roczne czynsze dzierżawne za piękne, górskie, rybne obwo- dy rybackie wynoszące 17 lub 26 kg szczupaka itp. są czynszami rujnującymi Skarb Państwa?

Niemniej i władze w owym czasie nie były w stanie stwierdzić, co też dzierżawca czyni na obwodzie. Czy posiada straż rybacką (nierzaz zdarzało się, że brat albo starszy ojciec dzierżawcy był zaprzysiężonym strażnikiem, którego nikt nigdy nie widział na obwodzie). Czy nie dokonuje odłowów w czasie ochronnym, czy łowi i sprzedaje ryby nieprzepisowej wielkości, jakim sposobem tępi kłusownictwo, czy troszczy się o zarzybienie posiadanego obwodu i czy w ogóle pod każdym innym względem stara się być racjonalnie gospodarującym dzierżawcą-rybakim?

W wielu wypadkach troska o dobro państwowe i ogólne nie była nawet minimalną. Na te sprawy zwracali coraz częściej uwagę w owym czasie „maniacy”, a popełniane rażąco wykroczenia takich dzierżawców-ry-

baków spowodowały odruchowe organizowanie się wędkarzy i powstawanie towarzystw wędkarskich.

Więc nie maniactwo było przyczyną powstawania towarzystw wędkarskich, a troska o usunięcie zła z dziedziny gospodarki rybackiej.

Nie potrzebują zorganizowani wędkarze przejrzyściejszych argumentów swojej wielkiej troski o dziedzinę tej jednej spośród wielu gospodarek w Polsce, jak tylko przypomnieć, kto to od chwili powołania Związków Ochronnych do życia — przewodniczy, prowadzi sekretariaty i kasowość w tych związkach, kto przeprowadza akcję zarybieniową, kto wykonuje nadzór w terenie i kto tym instytucjom ustawowo powołanym nadał tempo organizacyjne.

Jak zaś przedstawia się stosunek tych niektórych członków-dzierżawców do tego Związku jeszcze dzisiaj, to lepiej na razie nie mówić. Ta sprawa, o ile się ten

stosunek nie zmieni, wymagać będzie odrębnego omówienia.

Jeżeli więc w tej chwili rzuciłem przed Czytelnikami tych parę ogólnych i obiektywnych uwag, to czynię to w imieniu Podkarp. T-wa M. S. W. w Stryju w przekonaniu, że w chwili zwątpienia naszego czołowego przedstawiciela, który tyle włożył pracy dla organizacji, którą reprezentuje — wszyscy stojący na czele poszczególnych Towarzystw wędkarskich dadzą również swój wyraz solidarności we wszystkich Jego zamierzeniach dla dobra naszego sportu.

Do nas zatem, do przedstawicieli poszczególnych towarzystw, należy, nie czekając na Walne Zjazdy Delegatów, dodać otuchę Temu, który chwilowo zwątpił pod obuchem trosk i ciężaru pracy, jakie dźwiga od lat kilku i razem z nami wierzy w to, że sport wędkarski łączy się z wieloma walorami natury ogólnej.

A. Seeman (Stryj).

Dzień nad rzeką przyszłości

Niejednokrotnie pisaliśmy o bliskiej łączności wędkarstwa z turystyką, a między różnymi i wielorakimi dodatkowymi stronami wędkarstwa na pierwszym miejscu stawialiśmy możliwość bezpośredniego obcowania z przyrodą i podziwiania jej piękna. Poniżej zamieszczony artykuł naszego kolegi uczy nas często brakującej nam wszechstronności przy uprawianiu naszego sportu.

Każdy wędkarz sportowiec, chcąc mile spędzić czas wolny od pracy lub należycie wykorzystać urlop, stara się dobrać sobie takie miejsce na letnisko, w którym mógłby swobodnie wędkować i należycie odpoczywać. Nasza Polska takich zakątków, odpowiednich na odpoczynek po uciążliwej, wyczerpującej nerwy całorocznej pracy i na swobodne oddanie się sportowi wędkarskiemu, posiada bardzo dużo. Są one wszystkim bardzo dobrze znane, a ciągną się, począwszy od bystrych pstrągowych potoków górskich, aż do leniwych rzek pole kich. Jednak i w rejonie każdego prawie towarzystwa wędkarskiego znajdzie się zawsze jakiś rewir, w którym można cudownie powędkować, fowiać nawet czasami pojętne okazy, a przy okazji odpocząć na łonie przyrody, upajając się widokiem jej nieznanego piękna, którego dotąd nie mieliśmy ochoty poznać. Chcąc się o tym przekonać, należy przejrzeć mapę należących do własnego towarzystwa obwodów i właśnie w czasie urlopu powędrować do tego miejsca, w którym się jeszcze zupełnie nie było lub dokąd na skutek lenistwa nie chciało się pójść. Przez m w sobie niechęć, kochany kolego wędkarzu, weź bambus oraz jedzenie i ruszaj teraz w chwili wolnej w to nieznanne, tam, dokąd nigdy nie miałeś ochoty iść. Turystyka z wędkarstwem łączą się ciągle i zawsze.

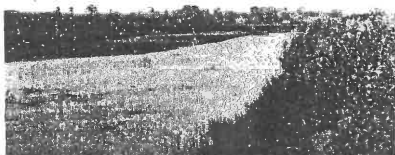
Jako że od urodzenia jestem turystą i wędkarzem, wychowanym nad Sanem i mieszkającym na terenie Tow. sportoworzybackiego w Przemyślu, jednego z dni lipcowych, dokładniej w piątek, dzień postu, postanowiłem, po zaznajomieniu się z terenem na mapie, poznać odcinek rzeki Wiszni (od Podgaci do śluzu w Starzewie), przepływającej przez powiat mościcki, nazwanej przeze mnie rzeką przyszłości. A nazwałem ją tak dlatego, że przez nią w przyszłości będzie przechodził kanał, łączący morze Bałtyckie przez Dniestr z morzem Czarnym. Kiedy ten projekt zostanie zrealizowany, na



Fot. 1

razie nikt z nas nie wie tak, jak nikt nie potrafi przewidzieć, co będzie jutro. Jedno jest pewne, że z chwilą wybudowania tego kanału, o którym coraz częściej się słyszy, leżąca po obu brzegach Wiszni piaszczysta ziemia momentalnie przeobrazi się i zarosnięte dzisiaj miejsca łożyną, szuwarami i lasami zapełnią się olbrzymimi kominami fabrycznymi, będącymi dalszym stwierdzeniem uprzemysławiania się naszego kraju. W tej chwili może nie wierzymy w to tak, jak niedawno nie wierzyliśmy w powstanie Gdyni, czy też dzisiejszego C. O. P'u. A przecież cóż się tam teraz znajduje! Cuda nad cuda. Toteż mając przeświadczenie o ważności skromniutkiej Wiszni, postanowiłem zwiedzić jej część i zaznajomić się z nią dokładniej.

Godzina ósma start. Dzień słoneczny, niebo włoskie, bez jednej chmurki. Wyruszam z Sokoli, biorąc z sobą wędkę, pudełko koników polnych, woreczek robaczek, mapnik, aparat fotograficzny (obowiązkowo) i symboliczną złotówkę. Dotarliśmy do brze-



Fot. 2

gów Wiszni, przed miejscowością Czerniawą, chwilę odpoczywam po lekkim zmęczeniu, wywołanym przejściem trzech kilometrów po piaskach. O, piaski tu są olbrzymie, — oprócz ziemniaków i żyta udaje się na nich świetnie tylko łubin, dający znać o sobie z daleka swoją żółtością i pięknym zapachem. Ludność przeważnie ruska, bardzo biedna. Po lekkim 10-minutowym odpoczynku wyruszam dalej. Brzezi Wiszni piaszczyste, nieuregulowane, porosnięte gęstą łożyną. Woda płynie płytkim korytem o dnie piaszczysto-mulistym, poważnie — zdając sobie sprawę ze swej ważności w niedalekiej przyszłości.

Nie zatrzymując się długo na jednym miejscu, ciągnę dalej ku mecie. Tu i tam w nurcie przemknie sylwetka jeliczka lub okazałej płoci, których jest w tym miejscu moc. Już mijam teren Sokoli. W dali na tle



Fot. 3

Wiszni migocze sylwetka Czerniawy. Jeszcze trochę gazu i znajduję się nad brzegiem, którym na pewno zainteresowałby się geolog, oglądając pięknie poukładane warstwy ziemi, podobne w układzie do barwnych łowickich wzorów. Prąd rzeki w tym miejscu szybszy. Drobnica pluszcze się rozkosznie, goniąc wytrwale za żerem. W tym to miejscu gromada Czerniawa zbudowała charakterystyczny most na żelaznych linach, do użytku jedynie mieszkańców, a który podobno kosztował 1500 dolarów. Oczywiście nie omieszkam spróbować po nim przejść. Rozhuśtany moim miarowym krokiem, podrzucił mną, jak balonem, dając złudzenie jazdy szybowcem.

Godz. 9 min. 30 — Czerniawa za mną. W dali migocze już cerkiew starzawska, do której chcąc się dostać, trzeba przejść przez

wsie Mazury i Meleszki. Woda staje się szybszą i pięknie na licznych zakrętach podmywa brzegi, na których cudownie rozrasta się podbiał, ozdabiając je nicipem regionalny dywan ściany pokoju. Mieszkańców wody, którymi są tu: szczupak, okoń, płoć, a nawet piękny karp, w tym miejscu dojrzeć nie można, bo woda jest głębsza.

Mijam Mazury i wchodzę w teren Meleszek. Krajobraz zupełnie się zmienia. Nikną fałszywe i urwiste brzegi, ustępując miejsca malowniczym olchom oraz płaczącym brzo- z m, które swą obecnością i pięknem na chwilę przenoszą nas wyobraźnią w krainy niedostępnych wód afrykańskich. Po przejściu Meleszek wchodzę w prawdziwy raj ziemsko-wędkarski. Nie zatrzymuję się jednak tutaj, gdyż moja meta obraną i wyznaczoną jest słuza w Starzawie. Okolica zupełnie niezamieszkała, brzegi egzotycznie zarosnięte. Idę środkiem wody, przy czym udało mi się zupełnie przypadkowo sfotografować napotkanych okazynie miejscowych kłusowników, nie spodziewających się tutaj niepioszonego gościa przy zwykłej cotygodniowej pracy. Nie omieszkałem oczywiście wylegitymować ich i sprawę przekazać miejscowej policji. Byli to miejscowi pokątni handlarze, łowiący ryby na piątek. Po odebraniu saka z pięknym okazem, choć martwym, lecz drogocennym dla towarzystwa, ruszyłem dalej w drogę.

Jest godz. 10 min 15 — gorąco podzwrotnikowe — 43 stopnie w cieniu. Radzę sobie jednak z nim, zając się po drodze orzeźwiającej cukierki mentolowe i idąc bez koszuli. Picia wody wystrzegam się, jak ognia. Skóra na mnie czernieje, jak nasświetlony w wywoływaczu papier fotograficzny, pot zaś spływa, jak z dziurawego cebra, złościąc rowy w kurzu, osiadłym na moich plecach. Lecz na nic nie zważam, cieszę się, bo rzeczywiście warto było, choćby tylko dla przyjemności, iść Wisznia. Dochodzi południe, już minąłem z lewej strony Starzawę i zostawiłem ją z tyłu. Patrząc i nie dając wiary swoim oczom, dotąd na razie świetnym. Rzeka płynąca zupełnie dziko, bardzo płyt-



Fot. 4

ka, nieskrępowana dziełami cywilizacji, nagle zaczyna przybierać na głębokości, szybkość jej maleje, a romantyczne brzegi przeobrażają się w pięknie uregulowane. Tu i tam żabka daje znać o sobie kumkaniem, a od czasu do czasu powstające na tafli rzecznej regularne koła zapewniają o istnieniu w niej mieszkańców, lubiących napadać na bezbronnych współobywateli. Dochodzę do słuzy. Tuż przed nią znajduje się piękny budynek, mieszczący w sobie maszynię, która dawniej pędziła wodę do olbrzymich sztucznych stawów hr. Drohojewskiego, dzisiaj podobny do opuszczonego dworku szlacheckiego.



Fot. 5

Oddycham rozkoszniej, gdyż widzę finisz swej wędrówki. Przechodzę słuza na drugą stronę i o dziwo — zdaje mi się, że jestem w Zakopanem tuż pod wodospadem Mickiewicza. Przepływająca przez podniesioną zastawkę woda, pieniać się, z szumem i łoskotem wali w dół, głośząc każdy krzyk ludzki. Słuza owa jest granicą, do której mogą się dostać ryby sanowe, a dokąd wpada nasza rzeka Wisznia. Odetchnąłem. Po uciążliwej, lecz pięknej wycieczce, rozłożywszy swoje kości na suchutkim piasku i przyglądając się przybyłym aż z Krakowskiego letnikom, odpocząłem z rozkoszą, zapominając zupełnie o odbywym czterogodzinnym marszu. Godzina czasu i obowiązkowa kąpiel w orzeźwiającej zimnej wodzie wystarczyły do należytego wypoczynku. Ponaciągawszy jeszcze trochę zgnusiałe członki, zmontowałem bambus i przystąpiłem do rzeczy najprzyjemniejszej — tak wyczekiwanej wędkowania — w nieznanym przeze mnie terenie. Jelczyki szły możliwie. Od czasu do czasu ciupnęła płoć, a okoni nie mogłem zliczyć — brały na wyścigi.

Jednak wszystko ma swój koniec. Po trzygodzinnym połowie, opłaciwszy go, jak przystało na nowego rybaka, haczykiem, o godz 16-ej ruszyłem z żalem w powrotną drogę, lecz innym szlakiem — na Małków, w którym nieomal do nieprzytomności opilem się dwoma litrami kwaśnego mleka. Dalej — prosto do Sokoli.

Zdawało mi się, że nie ma terenu w powiecie mościckim dla mnie zbyt ciekawego, a oto znalazł się. Jest cudowny, śmiało może konkurować z innymi o ustaloną nawet sławie, trzeba tylko chcieć do niego wybrać się. Tej wyprawy wędkarskiej nigdy nie zapomnę, mając w pamięci tyle cudownych wrażeń, którymi ugościła mnie ta piękna rzeka Wisznia — naprawdę „rzeka przyszłości” — swoją uprzejmością i bogatą roślinnością chętnie zapraszająca do siebie z całej Polski wędkarzy, goniących za przygodami.

M. Bakota.

Z wędkami nad Pilicą

Czterej panowie M-scy i niżej podpisany wybrali się pewnej soboty z wędkami nad Pilicę. Zaopatrzeni w rosówki, kartofle, groch i tym podobne akcesoria zajęli miejsca w kolejce do Góry Kalwarii, skąd mieli nadzieję dostać się roztrzęsionym i zawsze nabitym autobusem w stronę Mniszewa, do mostu nad Pilicą.

Mimo szalonego upału i spiekoty podróż odbyli szczęśliwie. Udreki podróży autobusem łagodziły jedynie nadzieje na dobrą zabawę nad wodą.

Próby złowienia żywca w Pilicy spełzły na niczym; zabraliśmy przeto swoje bagaże i udaliśmy się na jezioro, cel naszej wyprawy. Po podsypaniu w upatrzonych miejscach grochu i kartofli, przystąpiliśmy do montowania wędek, każdy według swego upodobania.

Montowano więc szczupakówki i linówki i delikatne wędeczki na płocie, których tu zapowiadano dużo i do tego ładnych.

Próby popołudniowe wypadły raczej słabo, jakkolwiek woda była bardzo atrakcyjna i zachęcająca.

Szczupakówki moich towarzyszy stały beczynnie, mimo, że szczupaki buszowały. Do moich linówek też nic nie podeszło. Płocie brały słabo i na ogół mierne.

Pod zachód słońca, kiedy i komary stały się nad miarę dokuczliwe, postanowiliśmy wrócić z całym bagażem nad Pilicę, gdzie zaobserwowana po południu przykosa kazała się spodziewać dobrych wyników nocnego połowu na wędkę gruntowe.

O zmierzchu zajęliśmy stanowiska na wysokim brzegu Pilicy. Urwisty i stromy brzeg do 5 m wysokości, zmusił nas do wyrzucenia wędek z góry. Po ustawieniu wędek zakrzętniejszy się około wieczery, którą zakropiono mlekiem „prosto od krowy” i zapito to wszystko wodą „prosto ze studni”. W obronie przed komarami, które tu, jakkolwiek mniej natrętnie, dokuczały nam do późnej nocy, ćmiłmy papierosy i... czuwaliśmy obok swych wędek.

A czuwanie było ciężkie i nużące, bo „brania” nie było; wielokrotnie sprawdzane wędkę trzeba było zaopatrywać w nową przynętę, gdyż drobica uporała się z rosówkami zgoła niepostrzeżenie.

Część zespołu nie ustawała w wysiłkach złowienia węgorza lub słuza, część zaś usiłowała zdrzemnąć się. Samopoczucie było znakomite i humory też dopisywały, jedynie senior naszej grupy począł zdradzać pewne zdenerwowanie. Domyślił się, że „mleko prosto od krowy” nie poszło mu na zdrowie.

Był najwytrwalszy w czuwaniu i wciąż w ruchu.

Dziwił się, że wciąż chodzi i znika i znów się pojawia, by po pewnym czasie znów udać się na samotną wędrówkę, gdzieś ku zbożom.

Tak! To na pewno było mleko!

Nie pamiętam, kiedy zasnąłem. Gdym się ocknął, na wyiskrzonym niebie żeglował księżyc. W srebrnej poświacie księżycy odszukałem towarzyszy. Część drzemała, zaś najmłodszy, niezmożony snem i trudami popołudnia, łowił opodal ryby. Podeszedłem do nich na pogawędkę. Wypaliliśmy po „fajce”, ciesząc się, że już niedługo wrócimy na jezioro i pokaże się „ciodajne słońce”.

Wynikiem nocnego połowu był jeden niewielki sum i jedno dobre, ale chybione branie.

O pierwszym brasku wróciliśmy na jezioro.

Po rozpakowaniu plecaków i wypiciu po kusztyczku herbaty zasiedliśmy cichutko nad wodą.

Postawiłem dwie linówki, towarzysze moi — poza linówkami — postawili szczupakówki. Do 6—7 rano — poza płociami — nic innego do wędek nie podeszło. Trochę później wydstałem 3 liny, dwa poszły zerwane, zresztą z mojej winy.

Jeden z towarzyszy oszukał na groch-szczupaka i szczęśliwie wydstał go na brzeg. Złowiliśmy jeszcze parę okoni i branie na rosówkę ustało.

A płocie brały, jak urzeczone. Ładne, gruntowe płocie. Brały na wszystko: na groch, na pastę, na kartofle, na robaczki.

Łowiliśmy wszyscy i prawdziwą satysfakcję sprawiało nam wyholowanie zaciętej ryby z czterometrowej głębi.

Około 11-ej z rana złożyliśmy wędkę i, po spożyciu odgrzanego bigosu, wróciliśmy do Warszawy, obiecując sobie ponowną wyprawę na płocie i liny.

Ed. Wierzech.

W sprawie podręcznika

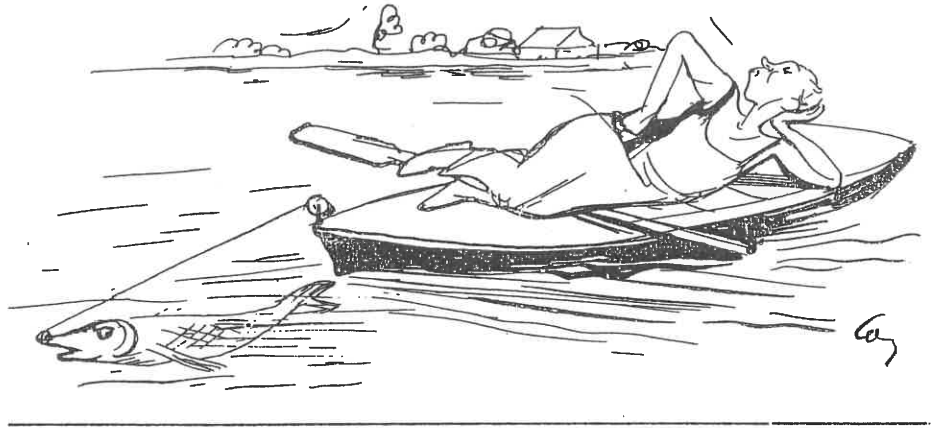
Odpowiadam na apel, zamieszczony w artykule wstępnym ostatniego numeru, omawiającym wydany obecnie podręcznik wędkarski, opracowany przez p. F. Choynowskiego. Jest to tylko jednak odpowiedź pośrednia, nie silę się bowiem na napisanie recenzji czy krytyki.

Biedny był ten nasz sport wędkarski, skoro brakło pióra do napisania, a chęci i funduszy do wydania książki, w której liczne grono zwolenników lub sympatyków tego sportu mogłoby znaleźć potrzebne wskazówki. A przecież to grono jest liczne, we dług mego przypuszczenia, nie mniejsze, niż 10.000 ludzi, a gdy dodać do tego wszystkich, którzy mimo głęboko ukrytej w nich sympatii dla wędkarstwa nie biorą do ręki wędki, gdyż nie mają skąd otrzymać potrzebnych wskazówek, to należałoby zapewne podwoić tę liczbę. I pomyśleć, że gdy inne sporty, przeważnie o charakterze czysto fizycznym, jednostronnym, posiadają liczne podręczniki, poradniki itp. — wędkarstwo było ich pozbawione. Czyż nie można stać wyciągnąć wniosku, że wędkarze w 99% to — analfabeci? Jeżeli nad tym wszystkim poważnie zastanowić się, to musi się przyjść do przekonania, że trud, włożony w napisanie podręcznika i starania podjęte w celu jego wydania — sownie się opłacą i stawiają zarówno autora, jak i wydawcę w rzędzie osób, które dobrze się sportowi wędkarskiemu przysłużyły. Piszę to tym śmieiej, że, z konieczności, nie jestem członkiem żadnego towarzystwa i nie posiadam skutkiem tego żadnych ambicji w odniesieniu do towarzystwa, a przez nie do Związku.

Jako wędkarz, posiadający duże doświadczenie i sporo znajomości sportu, muszę podkreślić, że przy czytaniu książki „Wędkarstwo na wodach polskich” rzuca się w oczy przede wszystkim nadzwyczajnie dobre rozplanowanie i podział materiału. Każdy z łatwością może znaleźć w tym podręczniku wszystko to, co go w danej chwili interesuje. Czy chodzi o wybór przyborów, czy przynęt, sposobów połowu, czy też połowu jednego gatunku ryb. Dalej idzie bogactwo materiału; powiedziano tu o wszystkim, można by chyba jeszcze dodać coś o bardziej lokalnych sposobach połowów. Nie wierzę w to, by najbardziej doświadczony wędkarz nie znalazł w książce tej czegoś nowego dla siebie, a w każdym razie przeczytanie jej pozwoli mu na uporządkowanie tego całego materiału, dotyczącego wędkarstwa, jaki kryje się w różnych komórkach jego mózgu. Ta systematyczność w ujęciu całego materiału pozwoli mu co najmniej na wyrobienie sobie nowego, bardziej pełnego i jasnego poglądu na całość naszego sportu.

Podkreślę jeszcze dwie, może różnej wartości, zalety dzieła. Jedna idzie na rachunek autora — to forma językowa. Książka jest napisana językiem dobrym, możliwie związłym i jasnym. Druga — to szata zewnętrzna. Książka jest wydana starannie, estetycznie, a dzięki solidnej i zresztą ładnej oprawie praktycznie. To — zasługa wydawców.

Wesoły kącik



Książka zapoczątkowała nową erę w wędkarstwie. Skończył się wiek słowa mówionego, w którym cała wiedza wędkarska ustnie przekazywana była przez pokolenie w pokolenie, — następuje era słowa pisanego, gdzie każdy, podobnie jak to jest we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego, teorię będzie zdobywał z książki, a udoskonalał ją w praktyce życiowej.

Od dzisiaj wśród przyborów wędkarskich pierwsze miejsce zajmować będzie książka, której poświęciłem swe uwagi.

E. Wawrzykiewicz (Pińsk).

To i owo

Dla tych wędkarzy, którzy nie chcą przy barwieniu żyłek stosować preparatów gotowych, podajemy kilka recept na przygotowanie barwników.

Barwnik zielony — otrzymujemy: przez dodanie do połowy litra piwa stu gramów liści orzecha włoskiego, stu gramów cukru, szczypty ałunu. Mieszaninę tę po zagotowaniu wystudzić i dopiero po ochłodzeniu jej zanurzyć na dwa dni w tym roztworze żyłki.

Odcień ciemniejszy lub jaśniejszy otrzymujemy przez dodanie większej, względnie mniejszej ilości liści orzecha.

Barwnik orzechowy możemy uzyskać z odwaru kawy z domieszką cykorii i szczypty ałunu. Również, jak i w poprzednim wypadku roztwór ten jest zdalny do użytku, po wystygnięciu.

Barwnik niebieski możemy otrzymać przy pomocy indygo, przegotowanego w niewielkiej ilości z domieszką odrobiny ałunu.

Barwić należy krótko i w ciepłym roztworze.



Gdyby przeciętny śmiertelnik dokładnie znał życie owadów — napewno nie rościłby sobie tak pochopnie pretensji do roli pierwszego stworzenia na świecie.

Ileż dziesiątków wieków upłynęło od epoki jaskiniowej do obecnej chwili — domów czynszowych z centralnym ogrzewaniem i „wszelkimi wygodami”!

Jak potężny był wysiłek zbiorowy całej ludzkości, aby swe ognisko domowe móc wznieść o kilka czy kilkanaście metrów ponad ziemią!

Nie znamy dokładnie ewolucji życia owadów, ale w iluż to wypadkach przewyższają te małe żyjątka swą inteligencją, śmiałościami pomysłami mózgi najtęższych ludzi, jakich wydała ludzkość?

Takim właśnie genialnym owadem, konstruktorem podwodnych, srebrzystych zamków jest pajęczek — topik (Argyroneta aquatica).

Pomimo, że jego organa oddechowe są wyłącznie przystosowane do życia na ziemi — buduje on pod wodą swe domostwa, napęka je powietrzem, prowadzonym z atmosfery, czyniąc je zdatnymi do dłuższego zamieszkiwania.

Odróżniamy go z łatwością, po otaczającym jego odwłok pęcherzyku powietrza, który lśni, jak najdoskonalsze srebro.

Znajdziemy go w każdej wodzie leniwo płynącej, wśród głębokich rowów, stawów, tam wszędzie, gdzie obfita roślinność podwodna sprzyja rozmnażaniu się larw, które stanowią jego podstawowy pokarm.

Aby być stale i z bliska tych larw, uniknąć ciągłego zanurzania się w wodzie w pogoni za zdobyczą, dla zaspokojenia głodu, buduje on z pajęczyny domki, najczęściej o kształcie owalnym lub stożkowatym, umocowując je do pobliskich roślin.

Sposób zaopatrywania w powietrze swej siedziby ma prosty, jak prosty jest każdy genialny wynalazek. W tym celu wysuwa z wody koniec swego odwłoka, rozpręga go i wsysa, jak gąbka odrobinę powietrza, z którą natychmiast opuszcza się w dół, by za pomocą skurczenia mięśni brzucha ulokować je pod stropem pajęczym swego mieszkania.

A gdy głód go przeciśnie, niedaleko, bo poza progiem swego podwodnego zamczyska, znajdzie zawsze duże ilości smacznego pokarmu.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Kopernika 30, pokój 534, telef. 277-27. Konto czekowe P. K. O. Związku Sportowych Towarzystw Wędkarskich nr. 28.499.

Wydawca: Związek Sportowych Towarzystw Wędkarskich R. P.

Prenumerata: rocznie zł. 4.—, cena egzemplarza gr. 40. Zmiana adresu gr. 25.

CENY OGŁOSZEŃ: Przed tekstem 1/1 zł. 120. 1/2, 65. 1/4, 40; po tekście 1/1, 100. 1/2, 55. 1/4, 30. Drobne ogłoszenia: wyraz 20 gr. Najmniej 2 zł. Za dział ogłoszeń Redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Druk St. Niemiry Syn i S-ka, Warszawa, Pl. Napoleona 4. Tel. 676-40.

PODRĘCZNIK
„WĘDKARSTWO NA WODACH POLSKICH”
w oprac. F. CHOYNOWSKIEGO

jest do nabycia w Związku Sportowych Towarzystw Wędkarskich R. P. Warszawa, ul. Kopernika 30.

Cena egzemplarza w oprawie zł 7. Dla członków zrzeszonych Towarzystw w Związku S. T. W. — zł 5.

Za przesyłkę pobiera się 50 gr od egzemplarza, za pobraniem pocztowym — 1.25 zł.

Należność za podręcznik prosimy wpłacić na konto P. K. O. Nr. 28.499, na rachunek Z. S. T. W.

Członkowie zrzeszeni, przy przekazywaniu wpłat proszeni są o podawanie Towarzystwa, do którego przynależą.

Zamieszczamy ciekawy artykuł pod tyt. „Jak nas bobry zawiodył” inż. rol. Czesława Bartkiewicza, drukowany w Nr. 54 Kuriera Warszawskiego.

Artykuł ten rzuca odmienne światło w kwestii szkodliwości piźmowców.

Nas powinien on zainteresować o tyle, że powinniśmy znać doskonale wszystkich wrogów ryb.

„Krótką była radość z bobrów tuż pod Warszawą w Bielawie. Co za impozycja: reprezentacyjne polowanie na bobry. Trudno, nie ma bobrów, ale jest ich „młodszy brat” — tak indyjskie konyjczy nazywają piźmowca.

Ponieważ Czesi piźmowca z Zaolzia nie ewakuowali, więc obecnie mamy go w granicach kraju. Należało by coś więcej o nim wiedzieć, niż to, co nam do wierzenia podają.

Kanadyjski piźmowiec jest od lat przeszło trzydziestu zaklimatyzowany i eksploatowany w Czechach. Świadcstwem, że nie był on tępiony, jest fakt sprowadzenia w r. 1929 partii piźmowców z Albany (Kanada).

W kraju z wzorową gospodarką rolną i rybacką, uprzemysłowionym, gęsto zaludnionym — wydaje się to ryzykowne. A jednak.

Tropiony, pędzony z miejsca na miejsce w nieodpowiednich warunkach i klimacie, zaczął szukać spokojnej przystani, lokując się przejściowo w norach, byle jak i byle gdzie.

W całkiem naturalnym dążeniu do poprawy bytu osiadł w kraju, przypominającym mu Kanadę. Że po drodze zawadził o niegościnnie Niemcy i wyrobił sobie złą markę, to wina panującego w tym kraju wśród rybaków pewnego zбочenia, t. zw. „Bisamratenspsychoze”.

W Bielawie zagnieździły się piźmowce przypuszczalnie przed trzema laty, już nie w norach, ale na trzęsawiskach, w chatkach, ludzko podobnych do żeremi bobrowych. Żadnych szkód w okolicy nie zanotowano; prosty wypadek ujawnił ich schronisko.

Dwanaście żopców — to w naszych warunkach około 60 zwierząt. Przy prawidłowej gospodarce łowieckiej dochód roczny 600 zł nie stając, nie orząc, z nieużytku bagiennego.

Nic z tego mamy ustawę, nakazującą tępienie piźmowców. Horoskop ich — jak najgorszy: misternie budowane domki zostaną zburzone, znikomą ilość zwierząt zabijają, reszta rozpędzona na cztery wiatry zacznie się znowu lokować prowizorycznie w nasypach, groblach, kanałach, rowach, aż wreszcie gdzieś na odludziu i... tak dokoła.

Piźmowiec osiadły — to zwierzę nadzwyczajnie cenne; bezmyślnie pędzony cały rok — to umiarkowany szkodnik, mniej groźny od królika lub szczura wodnego, którego przewinienia systematycznie księguje się na rachunek piźmowca.

Spokojnie pasące się w parkach podmiejskich owce — to element dodatni. Tymże owcom pędzonym w galopie, wystarczy bardzo krótki czas do zniszczenia chluby w Anglii — odwiecznych trawników.

Trudno wpaść wogóle przyjętą w przyrodoznawstwie zasadę, że „bezwzględnie szkodliwych zwierząt nie ma”. Ludzie bezwzględnie szkodliwi bywają.

Na całej przestrzeni St. Zjednoczonych i Kanady obowiązuje srogo przestrzegana ochrona piźmowca przez 10 miesięcy w roku. To też były lata, w których za eksportowane łupieży piźmowców otrzymywano około 160 milionów złotych.

W dochodach stanu Luisiana piźmowiec zdobył pierwsze miejsce kosztem 6 milionów łupieży rocznego zbioru. A przecież tam jest delta Mississipi i od wielu lat prowadzone są prace wodochronne, groble do 6 metrów wysokie.

Niesłusznie męczy nas zagadnienie Polesia. Teren ten przez aklimatyzację piźmowca powinien nam dać 15 do 20 milionów zł rocznie, zatrudniając około 5 tysięcy łowców zawodowych, powinien się samodzielnie zmeliorować, bo nie na łupieży piźmowca kończy się jego zadanie. Wyteżona praca milionów ruchliwych zwierząt na bagnie, żyjących jego porostem — to tama w procesie zabagnienia terenu.

Mając Polesie, lekceważyć piźmowca — to crimen; tytułu „the King of the fur industry” nie zdobywa się łatwo”.

inż. rol. Czesław Bartkiewicz

Dnia 16-VI. b. r. zmarł wielce szanowany członek tut. Towarzystwa

STARKMAN JONASZ,

który z uwagi na wielkie zamiłowanie dla sportu wędkarskiego wzbudził powszechny żal wśród członków tut. Tow. z powodu utraty członka Towarzystwa i kolegi.

Cześć jego pamięci.

Zarząd Towarzystwa Sportu Wędkowego w Tarnowie.